

NOWE ŻYCIE

dolnośląskie pismo katolickie

**Religia
Społeczeństwo
Kultura**

Rok XXIV Nr 11 (422)

Listopad 2009



Ojczyzna – brzmi dumnie?

Wspomnienie wszystkich wiernych zmarłych

Obronić godność małżeństwa i rodziny

Dobry Pasterz w Warszawie

Mianowany 6 stycznia 1862 r. Arcybiskupem [Warszawskim]... Początkowo był postrzegany jako człowiek cara. Wielu zarzucało mu brak miłości do Ojczyzny. Odpowiadając na te zarzuty, wyznał: *Polakiem jestem, Polakiem umrzeć pragnę, bo tego chce Boskie i ludzkie prawo, uważam nasz język, naszą historię, nasze obyczaje narodowe za drogocenną spuściznę po przodkach, którą następcom naszym święcie przekazać powinniśmy, wzbogaciwszy skarbnicę narodową własną pracą.*

w Akademii i seminariach duchownych, do podniesienia poziomu duchowego i intelektualnego kleru. Ważne miejsce w Kościele i społeczeństwie wyznaczył zakonem. Do Warszawy sprowadził siostry Rodziny Maryi i siostry Matki Bożej Miłosierdzia, aby opiekowały się najbiedniejszymi. Przyczynił się do rozszerzenia w stolicy kultu Najświętszego Sakramentu i ożywił cześć Matki Najświętszej, zaprowadzając w Archidiecezji, a następnie w całym Królestwie, nabożeństwa majowe.



Święty pasterz i wygnaniec

Z postawieniem nogi na ziemi warszawskiej – wspominał arcybiskup Feliński – *rozpoczęło się moje trudne, po ludzku mówiąc, niemożliwe postannictwo!* Powitanie w Warszawie było bardzo chłodne. Grozę sytuacji powiększało wrzenie rewolucyjne w stolicy, w której władze carskie wprowadziły stan wojenny. Kościoły od czterech miesięcy stały zamknięte przez władzę kościelną na znak protestu przeciw represjom wojsk carskich, w wyniku których doszło do rozlewu krwi w warszawskiej katedrze i w kościele św. Anny.

Konflikt duchowieństwa i wiernych z władzami miał rozwiązać nowy Arcybiskup, przychodzący prosto z Petersburga. *Zbyt dużo racji złożyło się na to, że społeczeństwo polskie nieufnie odnosiło się do wszystkiego, co przychodzi ze Wschodu* – stwierdził kardynał Wyszyński. – Zda się, że taki los był udziałem niemal wszystkich arcybiskupów warszawskich, którzy przychodzili tu ze Wschodu. Społeczeństwo, uwrażliwione na obronę ideałów narodowych i religijnych, posuwało swoją wrażliwość niekiedy tak daleko, że dopuszczało się niesprawiedliwości”. Doznał jej również Arcybiskup Feliński.

(...) Zygmunt Szczęsny Feliński pełnił swoją posługę nad Wisłą zaledwie 16 miesięcy. W tym okresie rozwinął wszechstronną działalność zmierzającą do odrodzenia Archidiecezji i całego Królestwa Polskiego. Skoncentrował swoją działalność na dążeniu do ożywienia życia religijnego. Skupił wokół siebie grono świątłych i gorliwych kapłanów, z którymi przystąpił do reformy programów nauczania i wychowania

Wobec wybuchu powstania i krwawych represji ze strony rządu carskiego nie pozostał bezczynny. Odważnie stanął po stronie ludu. Na znak protestu złożył dymisję z członkostwa w Radzie Stanu. Napisał w liście do cara: *Krew płynie wielkimi strumieniami, a represje zamiast uspokoić umysły, jeszcze bardziej je rozdrażniają. W imię miłosierdzia chrześcijańskiego i w imię interesów obu narodów, błagam Waszą Cesarską Mość, abys położył kres tej wyniszczającej wojnie... Polska nie zadowoli się autonomią administracyjną, ona potrzebuje bytu niepodległego.* Po opublikowaniu tego listu został wezwany do Petersburga. Zdawał sobie sprawę, że do Warszawy nie wróci. Odrzucił jednak propozycję Rządu Narodowego, aby uciec za granicę. Opuścił stolicę pod eskortą wojskową jako więzień stanu 14 czerwca 1863 r. i po trzech tygodniach internowania został zesłany do Jarosława nad Wołgą. (...)

Wygnanie i ostatnie lata życia

Zesłany w głąb Rosji, spędził w Jarosławiu nad Wołgą 20 lat, oddany modlitwie, apostołstwu i dziełom miłosierdzia. Swoje losy złożył w ręce Ojca Świętego, odpierając jednocześnie naciski, by zrezygnował z arcybiskupstwa. Pomimo ograniczeń otoczył opieką zesłańców, niosąc im pociechę duchową i pomoc materialną. Pamięć o „świętym biskupie polskim” pozostała żywa nad Wołgą przez długie dziesięciolecia. Dopiero po 20 latach został uwolniony, ale do Warszawy nie pozwolono mu powrócić.(...) Ostatnie 12 lat swojego życia spędził we

wsi Dźwiniaczka na Podolu, poświęcając się pracy duszpasterskiej, społecznej i oświatowej. Stan jego zdrowia pogarszał się coraz bardziej. Kilkakrotnie wyjeżdżał na leczenie. W czasie jednej z podróży zmarł w pałacu biskupim w Krakowie 17 września 1895 r. (...)

Patron na trudne czasy

Święty Zygmunt Szczęsny Feliński staje dziś przed nami jako patron na czasy trudne. Umiał być wolny od ludzkich opinii i od przywiązania do spraw po ludzku nawet najślusznieszych, jeśli tylko trzeba było bronić ich za cenę jakiegokolwiek kompromisu z sumieniem. Kiedy było trzeba, upominał rządzących, nie bacząc na konsekwencje. Skutkiem tej postawy była droga przez cierpienie. Pokorna zgoda na tę drogę była dla niego aktem najwyższej miłości. *Owo chętnie przyjęcie wszelkiego rodzaju doświadczeń, jakimi podoba się może Bogu nas próbować, jest najmiłszym hołdem, jakie stworzenie może oddać Stwórcy swemu.* (...)

Radujemy się z wyniesienia do chwały świętych Arcybiskupa Felińskiego, człowieka nadziei, apostoła pokoju, jedności i zgody narodowej. Ze skarbnicy jego życia pragniemy zaczerpnąć ożywczego ducha i światła, jak służyć Bogu, Kościołowi, Ojczyźnie i wielkiej rodzinie ludzkiej. Święty Pasterz Archidiecezji Warszawskiej wzywa dziś wszystkich do odnowy duchowej, do odważnego wyznawania wiary, do ufności w pomoc Bożą, do wiernego trwania przy Chrystusie i Kościele. Jego droga świętości może być drogą każdego z nas.



*Kilkutysięczna Parada Niepodległości.
Wrocław 2008 r.
Fot. Krzysztof Kunert*

NOWE ŻYCIE dolnośląskie pismo katolickie

Religia – Kultura – Społeczeństwo
Miesięcznik

Rok XXIV Nr 11 (422)
Listopad 2009

Wydawca
Kuria Metropolitalna Wrocławska

Redaktor naczelny
ks. Piotr Nitecki

Zastępca redaktora naczelnego
Krzysztof Kunert

Sekretarz redakcji
s. Maria Faustyna Kontek

Redaguje zespół

Redakcja zastrzega sobie prawo do
skrótów, nie zwraca też
materiałów nie zamówionych.

Adres redakcji
ul. Katedralna 13
50-328 Wrocław, tel. 71 327-11-16

e-mail: nowezycie@archidiecezja.wroc.pl
www.nowezycie.archidiecezja.wroc.pl

ISSN 0233-4367

Druk
„Kontra”
Wysoka, ul. Chabrowa 5

Nakład: 9500 egz.

NOWE ŻYCIE

W numerze:

- 2 „Ojczyzna” – brzmi dumnie?
Justyna Serafin
- 4 Wspomnienie Wszystkich Wiernych Zmarłych
Ks. Andrzej Nowicki
- 6 Serce połamane – dusza uskrzydłona
Alicja Gębarowska
- 7 Obronić godność małżeństwa i rodziny
Ks. Marian Biskup
- 8 Wyrażanie się miłości
Elżbieta Rydzak
- 10 Bo życie jest jedno
Antoni Smoliński
- 13 Z Wołynia do piekła
Krzysztof Kunert
- 15 Być dla innych
Adam Kwaśniewski
- 17 Moje kościoły parafialne na Szczepinie
Tadeusz Czerniewski
- 19 Człowiek nie jest narzędziem produkcji!
Łukasz Henel
- 20 Kiedy należy stosować upomnienie braterskie?
Z ks. Andrzejem Olejnikiem rozmawia Bożena Rojek
- 21 Wokół Ołtarza
- 24 Krzyżówka
- okł. II Święty pasterz i wygnaniec
Fragmenty Listu Pasterskiego Episkopatu Polski
- okł. III Santo subito – żywa pamięć
Marzena Hełmecka
- okł. IV Wrocławska Pielgrzymka do Trzebnicy



Na dźwięk słowa „patriotyzm” w wielu z nas budzą się prawidłowe skojarzenia. Większość najczęściej trafnie tłumaczy to pojęcie jako miłość, szacunek do ojczyzny. Problem pojawia się, gdy trzeba zastanowić się nad sposobem wyrażania patriotyzmu w życiu codziennym. Patriotyzm to rzecz piękna, ale to wcale nie znaczy, że łatwa. To z jednej strony duma z przynależności do narodu, nie tylko do ludzi, ale także do kraju z jego krajobrazem, historią, tradycją. Każdy z nas ma zapisane jakieś miejsce na ziemi, ale to miejsce staje się naszą ojczyzną poprzez przywiązanie, miłość, poczucie odpowiedzialności.

„Ojczyzna” – brzmi

JUSTYNA SERAFIN

Pytanie, czym jest patriotyzm, zadalam uczniom jednego z wrocławskich liceów. Wszyscy mówili o miłości do ojczyzny i szacunku, ale także o postawie, którą należy przyjąć. Jedna z uczennic trafnie zauważyła, że same gesty nie wystarczą – wywieszeniu flagi musi towarzyszyć świadomość. Patriotyzm nie jest bezmyślnym powtarzaniem pewnych wyuczonych zachowań, patriotyzm wyrasta z ogromnej miłości do ojczyzny, a ta pociąga za sobą odpowiednie gesty.

Kochać czy wyjeżdżać?

Ogromną miłość do ojczyzny zawsze było widać u Jana Pawła II. W pamięci każdego pozostaje Ojciec Święty, który zawsze po przylocie do Polski całował ziemię. Wielu szokował ten gest, może dlatego, że nie jesteśmy przyzwyczajeni do manifestowania swoich uczuć patriotycznych. Ale każdy był pod wrażeniem ogromnej miłości Papieża do ojczystej ziemi. Gest Ojca Świętego klóci się z coraz częstszymi postawami Polaków mieszkających poza granicami kraju. Na forach internetowych można znaleźć wiele słów żalu do Polski. Zamiast słów tęsknoty, możemy odnaleźć słowa rozgoryczenia. Polska jawi się w tych forach jako kraj, w którym nic dobrego nie ma, że nie warto wracać, bo u nas nie ma warunków do życia, że nic ich nie wiąże z ojczyzną poza rodziną. Pojawia się pytanie: skąd taka postawa? W czym tak naprawdę tkwi problem? Czy rzeczywiście w tragicznej sytuacji kraju, który

nie jest w stanie zapewnić godnego bytu swoim obywatelom? Może problem nie tylko tkwi w polityce naszego kraju? Wielu z nas uważa, że patriotyzm jest czymś wrodzonym, że dzięki urodzeniu w danym kraju, od razu go bezgranicznie kochamy. Niestety, tak nie jest, miłości i szacunku do ojczyzny trzeba uczyć!

Patriotyzm nie musi oznaczać walki

Szczególnie w dzisiejszych czasach, w dobie europeizacji pojawia się pytanie o patriotyzm. Niektórzy twierdzą, że nie warto już zajmować się takimi sentymentami, skoro wszyscy jesteśmy obywatelami Europy. Stale niwelujemy różnice w Europie, staramy się być wspólnotą, ale to wcale nie oznacza, jak niektórzy by chcieli, że mamy się wyzywać swojego przywiązania i miłości do ojczyzny. Nawet dobitniej można powiedzieć, że prawdziwym Europejczykiem można się stać dzięki umiłowaniu własnej ojczyzny, świadomości swoich korzeni i tradycji. W ten sposób wnosimy coś cennego do wspólnoty.

Wiele osób, myśląc o ojczyźnie, wspomina lata szkolne, kiedy to na ważne święta narodowe zbierała się cała szkoła na uroczystej akademii z tej okazji. Uczyliśmy się wtedy pieśni patriotycznych, legionowych i recytowaliśmy poezję: *Moja piosenka II C.K.* Norwida czy też *Bagnet na broń W.* Broniewskiego. Wszystko było zawsze podniosłe, wspominaliśmy walczących za ojczyznę,

składaliśmy kwiaty na grobach żołnierzy. I zawsze pozostawało takie dziwne odczucie, że ten patriotyzm jest jakiś taki nie nasz. Naszych dziadków owszem, ale nam nie był bliski.

Ogromnym szacunkiem darzymy wszystkich, którzy polegli za ojczyzną – historia jest bardzo ważna dla zrozumienia i pokochania własnego kraju. Jednak tylko historią nie jesteśmy w stanie żyć, a właśnie tego nauczyli nas w szkole. Patriotyzm wielu z nas ograniczał się

właśnie do udziału w tych akademiach. I nagle po skończeniu szkoły, gdy zabrakło takiego wspólnego świętowania, pojawia się problem z wypełnieniem tej pustki. Nauczono nas „patriotyzmu walczącego”, którego nie sposób realizować w dzisiejszych czasach. Dzisiejsze pokolenia nie mają z kim walczyć, nie ma realnych wrogów zagrażających wolności Polski, ale przecież wcale nie znaczy to, że nie ma w naszym kraju patriotów.

Nigdy nie zapomnę lekcji języka polskiego, na której uczniowie gimnazjum omawiali lekturę – *Kamienie na szaniec*. Uczniowie zachwycali się postawą Alka, Zośki i Rudego, chwalili działalność Szarych Szeregów, ale na pytanie, czy zachowaliby się tak samo jak bohaterowie, odpowiedzieli, że nie. Mówili, że ich zachowanie w ogóle nie przystaje do dzisiejszych czasów i że oni nie chcieliby aż tak narażać swojego życia. Chwilę później padło pytanie o patriotyzm, większość grupy odpowiedziała, że nie są patriotami, bo nie walczą za swoją ojczyznę. Nauczono ich tylko jednej wersji patriotyzmu – patriotą jest ten, kto walczy za ojczyznę i wręcz wymaga się od nich deklaracji gotowości umierania za ojczyznę. A przecież oni mają inne rzeczy do zaoferowania ojczyźnie, ale często nawet sami o tym nie wiedzą.

Wzór „patriotyzmu walczącego”, ciągle żywy w naszym społeczeństwie, sprawia, że obecne pokolenia nie potrafią wypracować nowych, adekwatnych

do dzisiejszych czasów, przejawów patriotyzmu. Brak pomysłów na wspólny patriotyzm wynika nie tylko z pewnego wzorca dobrego patrioty, ale także z tego, że nasza miłość do ojczyzny nie jest zakorzeniona w nas zbyt mocno.

Polska gola!

Nasze uczucia patriotyczne budzą się najczęściej przy występach polskiej reprezentacji. Wtedy też zbieramy się

niez tkwi ogromna miłość do ojczyzny i duma z bycia Polakiem.

Dlaczego takiej samej radości i entuzjazmu nie możemy obserwować w trakcie obchodzenia wielkich świąt narodowych? Przecież wspomnianie wielkich wydarzeń z życia naszego kraju jest również wielkim świętem i okazją do pokazania ogromnej miłości do ojczyzny i dumy. Polski patriotyzm zawsze łączył się z podniosłym, patetycznym tonem, ale brak w nim autentycznej radości. Nie

związane z przeżywaniem polskości zawsze pozostaną żywe. Historia jest ważna i nie należy o niej zapominać, ale nie może stać się jedynym powodem, dla którego wywieszamy flagę, czy wstawiamy w czasie hymnu. Musimy mieć żywą świadomość naszej miłości do ojczyzny. Jest wiele rzeczy, które kochamy w Polsce i z których jesteśmy dumni. Poprzez głębsze ich poznanie zakorzeniamy w sobie miłość i szacunek do ojczyzny a dzięki temu rodzi się w nas autentyczna radość z tego, że jesteśmy Polakami.

Czy istnieje jakiś sposób na zmianę naszego patriotyzmu na bardziej radosny, autentyczny, który do głębi będzie poruszał każdego rodaka? Istnieje dużo pomysłów na ożywienie naszego patriotyzmu. Wiele z nich jest już realizowanych w szkole czy poprzez organizacje pozarządowe.

Patriotyzm jutra

Jednym z takich programów jest *patriotyzm jutra*. Jego współtwórcą, Marek Mutor, tak uzasadnia powstanie programu: *Jak Polak myśli o patriotyzmie, to od razu widzi barykady, wyrzeczenia i myśli: bić się czy nie bić. Tak nas ukształtowała historia. Chcemy to zmienić, znaleźć odpowiedź na pytanie, czym jest miłość do ojczyzny teraz, gdy bić się nie trzeba. Chcemy wprowadzić patriotyzm do kanonu cnót. W jaki sposób twórcy programu chcą to osiągnąć? Spora pula pieniędzy z ministerstwa jest przeznaczana na edukację patriotyczną. O dotację starają się gminy, powiaty, instytucje kultury i organizacje pozarządowe. Na uznanie mają szansę jedynie ambitne, niesztampowe propozycje ukazywania wartości patriotycznych w atrakcyjny sposób.*

W czasie trwania programu zrealizowano już wiele ciekawych projektów, które przybliżyły społeczeństwu historię i kulturę naszego kraju. Niekonwencjonalne sposoby realizowania tych projektów przyciągają nie tylko młodych ludzi do brania w nich udziału. Wśród projektów znajdują się pokazy słynnych bitew, gdzie wszyscy uczestnicy przenoszą się w odległe czasy, mają okazję podziwiać stroje, obyczaje, a nawet kosztować jedzenie z dawnej epoki. Gimnazjaliści z Malborka mieli okazję na nowo odkryć zabytki swojego miasta i pochwalić się nimi innym poprzez tworzenie własnych witryn internetowych. Natomiast

dumnie?



Wrocławska młodzież pokazuje, że chętnie uczestniczy w patriotycznych wydarzeniach.

wspólnie, zakładamy białoczerwone koszulki i dopingujemy naszą drużynę. Milkną wszelkie spory, bo najważniejsze jest wsparcie dla drużyny. Po zwycięstwach polskich drużyn na ulice wychodzą tłumy, aby móc podzielić się radością z innymi. Czy to wynika z ogromnego zamiłowania do sportu? Myślę, że nie tylko. Wszyscy są dumni z drużyny, z zawodników, ale i z tego, że to właśnie nasz kraj okazał się najlepszy. W tym wspieraniu polskich drużyn rów-

potrafimy się cieszyć z wolności naszego kraju choć od niedawna jesteśmy tak naprawdę wolnym krajem. Problem wcale nie tkwi w braku miłości do ojczyzny, ale z wyuczonych patetycznej nuty. Zwyczajnie nie potrafimy się cieszyć, a wręcz radość wydaje się nam tu nie na miejscu.

Radość z Polski!

Można zapomnieć wiersze, które się recytowało, piosenki, które się śpiewało na akademiach, ale uczucia i emocje

Fot. Krzysztof Kurnat

„Ojczyzna” – brzmi dumnie?

Dokończenie ze str. 3

warszawscy uczniowie nakręcili wywiady z wielkimi obywatelami stolicy. Zorganizowano także Międzynarodowy Motocyklowy Rajd Katyński czy weekendowe warsztaty „Zostań w Polsce” dla informatycznie uzdolnionej młodzieży. To tylko kilka projektów, które zostały zrealizowane dzięki pomocy finansowej z programu *patriotyzm jutra*. Mnogość organizowanych imprez i warsztatów pozwala każdemu odnaleźć coś dla siebie.

Patrzmy w przyszłość

Takie podejście do patriotyzmu jest szansą na życie społeczeństwa z ojczyzną. Dzięki temu każde święto będzie żywo i radośnie obchodzone w naszym kraju. Inicjatywy takie coraz szerzej podejmowane są również w szkole. Także Telewizja Polska wpisuje się w nurt radosnego patriotyzmu poprzez emisję programu *Kocham Cię Polsko!* Wiele negatywnych rzeczy można powiedzieć na temat tego programu, jednak ten program miliony Polaków uczy, jak cudownym, wartościowym krajem jest Polska i z jaką radością można przeżywać swoją „polskość”.

Jest wiele sposobów na przełamanie ciągle drzemającego w nas „patriotyzmu walczącego”. Może właśnie teraz, gdy po raz kolejny zbliżamy się do obchodzenia Święta Odzyskania Niepodległości, warto zastanowić się nad swoimi uczuciami do Ojczyzny i sposobami ich wyrażania. Może w tym roku nie tylko pójdziemy na Mszę Świętą, by pomodlić się za nasz kraj, czy też nie ograniczymy się do oglądania w telewizji złożenia kwiatów na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie. Może właśnie już dziś dorosliśmy do tego, żeby tak, jak po wielkim zwycięstwie polskiej reprezentacji, wyjść z polską flagą na ulicę, przyłączyć się do tłumy radosnych ludzi i wołać: *Ja tak po prostu kocham Cię, Polsko!*

JUSTYNA SERAFIN

Błogostawieni, którzy w Panu umierają – już teraz (...) bo idą wraz z nimi ich czyny (Ap 14,13).

W pamięci Kościoła

Modlitwy za zmarłych zawsze towarzyszyły Kościołowi i kształtowały przekonanie wiary, iż to właśnie one, zanoszone do Boga, tworzą duchową więź łączącą przez pokolenia wszystkich wierzących w jedną wspólnotę uczniów Jezusa Chrystusa. Dzięki nim żyje pamięć o bliźszych i dalszych przodkach, a ich wspomnienie chroni przed zapomnieniem tych, którzy

doszli już do kresu ziemskiej drogi, niekiedy uświadamia zobowiązania, jakie mamy wciąż wobec nich. Natomiast dla cieszących się życiem jest to też okazja do refleksji i imperatyw skłaniający do osobistego wyboru tylko tych z wartości, których nie dewaluuje czas.

Dzień Zaduszy, taka nazwa jeszcze do naszych czasów znajdowała się w kalendarzu regulującym życie religijne

Wspomnienie

KS. ANDRZEJ NOWICKI



Fot. Krzysztof Kunert

Kościola. Dzisiaj przyzwyczajamy się do nieco innego określenia, a mianowicie mówimy o Wspomnieniu Wszystkich Wiernych Zmarłych. Istota pozostaje w dalszym ciągu ta sama. Kościół nie zapomina o zmarłych i poleca ich Bogu. Zaprasza równocześnie żyjących, by wspominając najbliższych poszukiwali odpowiedzi na wciąż najważniejsze pytania, rozstrzygające o życiu każdego człowieka. Tak więc Dzień modlitw za zmarłych staje się szczególnym dniem w roku, kiedy każdy człowiek winien odać się również refleksji nad samym sobą.

Wszystkich Wiernych Zmarłych

Pytania o los człowieka

Dzień modlitw za zmarłych powinien być dla chrześcijanina dniem stawiania zasadniczych pytań dotyczących życia i szukania odpowiedzi pozwalających sensownie je spożytkować. Czym jest właściwie życie ludzkie znaczone umieraniem? Człowiek nie ma wielkiej ochoty myśleć o swoim życiu, a jeszcze mniej o śmierci. Ale im wcześniej zacznie się nad tym zastanawiać, tym ma większe szanse znalezienia rozsądnej racji chroniącej go od pesymizmu, skrywanego w powiedzeniu: *bo życie jest krótkie*, którym często stara się tłumaczyć swoje zagubienie i niepowodzenia.

Czym jest więc życie ludzkie? Czy nie popełniamy zasadniczego błędu, kiedy granicę pomiędzy życiem i śmiercią wyznaczamy cmentarnym murem? Ile jest warte życie ludzkie, które zaczyna się w kołysce a kończy definitywnie w trumnie? Czy jest życie po życiu? Dlaczego po prostu umieramy? Dlaczego ciało rozsypuje się w proch? Dlaczego przychodzi człowiekowi przeżywać ból rozstania ze wszystkimi po kolei, nawet z tymi najbardziej ukochanymi? Czy musi nastąpić taki właśnie, bolesny, kres szczęścia ludzkiego? Jeśli człowiek, mimo starań, wbrew najgłębszej tęsknocie, jaka w nim tkwi, nie może sam sobie zapewnić nieśmiertelności, to kto mu może już teraz wiarygodnie powiedzieć, że w istocie rzeczy nie umiera, *tylko przechodzi ze śmierci do życia*, i jak – chciałoby się wiedzieć – wygląda to życie?

Optymizm wiary

Czytania biblijne noszą wyraźny charakter paschalny, a więc uzasadnia-

jąc chrześcijański optymizm sięgają do wydarzeń wielkanocnych. Chodzi o to, by smutek dnia, w którym wspominamy zmarłych, nie miał decydującego, przytłaczającego wpływu na ludzi wierzących. I tak, radosną nadzieję wyraża cierpiący Hiob poszukujący kogoś, kto utrwał jego słowa na wieki. Wierzy on, że ostatecznie w dzieje człowieka interweniuje Bóg jako Zbawca, który żyje i kiedyś jego *szczątki skórą odzieje i ciałem swym Boga zobaczy* (Hi 19, 26). Natomiast św. Paweł przypomina przekonania wierzących, że *Ten, który wskrzesił Jezusa,*

za wszelką cenę uniknąć tego, co zwykle nazywane jest śmiercią, chociaż on sam coraz głośniejszym domaga się prawa do przerywania życia innym. Tymczasem tylko Boga Stwórcę stać na to, by człowieka obdarzył lepszym życiem niż to mierzone miesiącami i latami na tym świecie. Sensowna jest zatem troska, by uniknąć złego życia, bo tylko w ten sposób człowiek może zyskać realną polisę, która będzie procentowała pewną gwarancją w odnowionym życiu. Dlatego myśląc o życiu kategoriami przyszłości, każdy powinien nabywać już teraz sprawnej umiejętności

z *Jezusem przywróci życie także nam* (2 Kor 4,14) i *będziemy mieli mieszkanie od Boga, dom nie ręką uczyniony, lecz wiecznie trwały w niebie* (2 Kor 5,1). Wreszcie sam Jezus Chrystus, kiedy nadchodzi godzina pożegnania z najbliższymi, rozumiejąc trwogę uczniów, którym wydaje się, że przybytek ich doczesnego zamieszkiwania przemienia się w nicłość, a ich dotychczasowe zaangażowanie traci sens, zapewnia, że *w domu Ojca mojego jest mieszkań wiele* (J 14,2) i umawia się z nimi tam właśnie na niekończące się spotkanie. Zmarłychwstały przezwyciężywszy moce ciemności i śmierci, wobec których sam człowiek staje bezradny, idzie wszystkim pokładającym nadzieję w Bogu przygotować miejsce w domu Ojca.

Polisa na wieczność

Widzimy, jakże daremne są wysiłki współczesnego człowieka, który chciałby

wyważania proporcji między tym, co doczesne i wieczne, pomiędzy tym, co przyrodzone i nadprzyrodzone, pomiędzy tym, co materialne i duchowe, a także dokonywania wyboru pomiędzy tym, co jest istotne, a co drugorzędne, prawdziwe i złudne, trwałe i przemijające, rzeczywiste i pozorne. To jest zadanie życiowe, które zakłada przede wszystkim odwagę konfrontacji ludzkiego życia z Dobrą Nowiną Jezusa Chrystusa.

Kościół sprawuje ofiarę Eucharystii, jak to czyni zresztą od wieków, i poleca dzisiaj Bogu, Miłości miłosiernej tych, którzy odeszli, czyniąc tę posługę z przekonania żywnego wiarą, że nasze siostry i nasi bracia zasnęli z nadzieją zmartwychwstania.

Wieczny Boże, tych, którzy są obciążeni ciężarem grzechu, błaganie Kościoła poleca Ci szczególnie, a nas kiedyś wraz z nimi dopuść do swojego królestwa. Amen.

Intencje Apostolstwa Modlitwy na listopad 2009

Intencja ogólna:

Aby wszyscy ludzie na całym świecie, zwłaszcza ci, na których spoczywa odpowiedzialność w zakresie polityki i gospodarki, nieustannie zabiegali o ratowanie stworzenia.

Intencja misyjna:

Aby wierzący różnych religii, dzięki świadectwu życia i braterskiemu dialogowi, jasno ukazywali, że imię Boga jest zwiastunem pokoju.

Serce połamane – dusza uskrzydłona

ALICJA GĘBAROWSKA

Kiedy nasze serce jest POŁAMANE? Kiedy przeżywamy jakąś porażkę, chorobę, trudności. Albo kiedy odchodzi ktoś bliski. Niewielu z nas myśli wtedy o tych, którzy odeszli. Koncentrujemy się na swoim cierpieniu. A oni? Szkoda, że nie można ich zapytać. Ale czy dusza, która spoczęła w Bogu, nie doznaje USKRZYDLENIA, pełni szczęścia? Oto studium życia i śmierci, które, być może, choć trochę zbliży nas do odpowiedzi na to pytanie.

Godzina zero

Koniec czasu. Koniec relacji ziemskich. Koniec trosk. Wszechogarniający pokój. Uwolniona dusza płynie ku TEMU, który z radością otwiera ramiona. Chór aniołów i świętych szaleje.

– Jeszcze jeden! – wołają – Jeszcze jeden dołączy do niebiańskiego zastępu wielbiącego Boga!

– *Panie Doktorze! On odchodzi!* – wrzasnęła. Niemal natychmiast sztab ludzi wpadł do maleńkiej salki szpitalnej. – *Proszę się odsunąć!* – wrzasnął lekarz. – *Ratujcie go, ratujcie!* – krzyczała w rozpaczliwym amoku. – *Niech ktoś zabierze tę kobietę!* – rozkazał lekarz. Ktoś z personelu wypchnął ją na korytarz. Przez szybę patrzyła, jak ciało jej męża wierzga na szpitalnym łóżku rażone elektrowstrząsami. Raz, drugi, piąty. – *Boże, ratuj go* – szeptała dławiąc się własnym szlochem. – *Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi... Boże, nie pozwól mu odejść, nie pozwól mu!*

Przeraźliwy pisk urządzenia monitorującego pracę serca wypełnił przestrzeń. Oznajmił, że serce przestało bić. – *Nic z tego zrezygnowany lekarz pokręcił głową.* – *Proszę odłączyć aparaturę.*

Oślupiałym wzrokiem patrzyła, jak z pokoju jej męża wychodzą pielęgniarki i lekarze. Lekarz spojrzął na nią pełnym współczucia wzrokiem. – *Proszę nic nie mówić* – szepnęła. Bała się usłyszeć to, o czym już wiedziała. – *Bardzo mi przykro* – usłyszała, a kiedy

podniosła wzrok, ujrzała tylko oddalającą się białą postać.

Dzień „po”

Błogostan. Czas i przestrzeń przestały być ograniczeniem. Towarzyszące mu w ostatnich dniach i tygodniach cierpienie zostało unicestwione. – *Jezu* – wyszeptał.

– *Jestem.*

Spojrzał. Zachwyt i radość wypełniły jego nowe jestestwo. – *Czekałem na Ciebie* – powiedział TEN, którego oblicze dotąd było ukryte w białej hostii.

Szok. Pustka. Unicestwione marzenia i plany na przyszłość.

– *Ciii* – czyjś szepet dochodzący z sąsiedniego pokoju przywołał obecnych do zachowania ciszy. – *Właśnie zasnęła, biedactwo.*

Wulkan napływających myśli rozrywał jej wnętrze i dręczył bezlitośnie.



Ikona Zmartwychwstania Pańskiego

– *Może dwie minuty wcześniej... Gdyby ten cholerny lekarz przyszedł dwie minuty wcześniej, nie byłoby tego wszystkiego. Na pewno! To jego wina! Co teraz będzie?! Jak mam teraz żyć, do cholery?! Gdzie był Bóg?! Dlaczego na to pozwolił?! Czy w ogóle był?!*

Cztery dni „po”

Pełnia. Stan nie dający się ująć w żadne ramy werbalne.

Pogrzeb. Ostatnie pożegnanie. Morze kwiatów i kondolencji.

– *Trzymaj się, kochanie. Współczuję* – cię wszystkich stron słyszała takie puste zapewnienia, co gorsza wypowiedane przez tych, którzy nie mieli najmniejszego pojęcia o tym, co czuła.

Miesiąc „po”

Pełnia. Radość. Boskie oblicze skoncentrowane właśnie na nim.

Letarg. Umycie filiżanki, zrobienie zakupów, oglądanie telewizji – na żadną z tych rzeczy nie miała siły. Wspomnienia – to im oddawała się bez opamiętania podczas szarych dni i bezsennych nocy.

Rok „po”

Bezkres. Pokój i miłość emanujące od TEGO, który sam jest Miłością.

Dzika furia. Tak najkrócej można opisać stan, w jakim była. Rodzina, przyjaciele, współpracownicy – nikomu nie odpuściła. Każdy choć raz znalazł się w polu rażenia furii, jaka eksplodowała z niej niemal każdego dnia. Nie wiedziała, że żadnym swoim zachowaniem nie zdoła zrazić do siebie ludzi, którzy ją kochają. – *Boże, ratuj* – wyszeptała. Labirynt absurdu, złości, rozpacz, w jaki zabrnęła, zdawał się nie mieć wyjścia. – *Niech mi ktoś pomoże...*

Ktoś kiedyś powiedział, że śmierć to tajemnica, wobec której trzeba być pokornym i wiele się nie mądrzyć. Może zamiast mądrzyć się, lepiej po prostu uwierzyć w bezkres radości tych, których przebywanie poza doczesną granicą czasoprzestrzeni inspiruje i USKRZYDŁA do przeżywania pełni życia z Bogiem...? Może taka perspektywa choć trochę uleczy POŁAMANE serca tych, którzy na nowo uczą się trudnej sztuki życia po stracie kogoś bliskiego...

PO PEREGRYNACJI RELIKWII ŚW. JOANNY BERETTY MOLLI

W liście pasterskim na Adwent 2007 roku, ks. abp Marian Gołębiowski, informował wiernych, o zamierzonym dwuletnim programie duszpasterskim, wyrażającym jego troskę pasterską o małżeństwa i rodziny w Kościele wrocławskim. W liście tym pisał: *Inicjatywą duszpasterską zmierzającą do ożywienia i umocnienia życia Bożego w rodzinach chrześcijańskich będzie peregrynacja w parafiach naszej archidiecezji relikwii św. Joanny Beretty Molli, która jest wzorem matki poświęcającej własne życie dla ratowania życia dziecka. Niech przez te święte relikwie, wędrujące po dolnośląskiej ziemi, przypomina nam o obowiązku obrony życia od początku do naturalnej śmierci. Zachęcam rodziny katolickie, by licznie i chętnie uczestniczyły w tej peregrynacji, wypraszając dla siebie i swoich bliskich obfitość łask Bożych za wstawiennictwem współczesnej świętej.*

z Wrocławia na Jasną Górę. Peregrynacja nawiązywała m.in. do ogólnego tematu duszpasterskiego w Polsce. W 2008 roku inspiracją było motto: *Bądźmy uczniami Chrystusa*, zaś w 2009 roku: *Otoczmy troską życie*.

Dwa lata trwająca, w 298 parafiach, peregrynacja relikwii św. Joanny Beretty Molli w archidiecezji wrocławskiej zakończona została 26 września 2009 roku w parafii katedralnej. Zakończenie peregrynacji pod przewodnictwem księdza arcybiskupa, miało charakter bardzo uroczysty. Po procesji z relikwiami z kościoła Matki Bożej na Piasku do Archikatedry Mszy świętej koncelebrowanej przewodniczył i homilię wygłosił Metropolita Wrocław-

Obronić godność małżeństwa i rodziny

KS. MARIAN BISKUP

Ojciec święty Benedykt XVI w liście skierowanym do Metropolity Wrocławskiego wyraził zadowolenie z podjęcia i realizacji takiego programu duszpasterskiego w archidiecezji wrocławskiej. Papież, udzielając błogosławieństwa tej inicjatywie, w liście tym pisał: *Dobrze, że w programie duszpasterskim tak wiele miejsca będzie poświęcone sprawom rodziny, małżeństwa i przygotowania młodzieży do życia małżeńskiego. (...) Niech wsparciem i umocnieniem dla wszystkich rodzin będzie święta Joanna Beretta Molla, której relikwie podczas przygotowanej peregrynacji nawiedzą parafie i ośrodki duszpasterskie archidiecezji. Niech ta, która dała światu przykład troski o rodzące się życie uprasza potrzebne łaski dla wszystkich matek i przygotowujących się do życia małżeńskiego.*

Peregrynacja relikwii św. Joanny Beretty Molli, patronki narzeczonych, małżeństw i rodzin, z błogosławieństwem papieskim, pod hasłem: *Obronić godność małżeństwa i rodziny*, rozpoczęła się w wigilię Środy Popielcowej, 5 lutego 2008 roku w Metropolitalnym Wyższym Seminarium Duchownym we Wrocławiu. Przez cały Wielki Post relikwie wędrowa-

ły do żeńskich zgromadzeń zakonnych miasta Wrocławia. Ta modlitwa rodzin duchowych w czasie Wielkiego Postu była mocnym duchowym wsparciem peregrynacji, aby przyniosła ona obfite owoce w małżeństwach i rodzinach archidiecezji wrocławskiej i w całym Kościele świętym. Był to prolog peregrynacyjny, który zakończył się w Niedzielę Palmową podczas Diecezjalnego Spotkania Młodzieży procesją z relikwiami z kościoła Św. Krzyża do archikatedry przy licznych udziałach młodzieży.

Zasadnicza inauguracja Peregrynacji Relikwii św. Joanny Beretty Molli, w dekanatach i parafiach archidiecezji, odbyła się w wigilię Niedzieli Miłosierdzia Bożego, 29 marca 2008 roku, w Dekanacie Oleśnica - Wschód, w parafii Matki Bożej Miłosierdzia. W roku 2008 Relikwie nawiedziły wszystkie parafie archidiecezji poza Wrocławiem. Natomiast w bieżącym roku peregrynacja była kontynuowana w parafiach wrocławskich. Relikwie patronki narzeczonych, małżeństw i rodzin niesione też były podczas tegorocznej pieszej pielgrzymki

ski. Natomiast w niedzielę 27 września, w parafiach archidiecezji odprawione były Msze święte - dziękczynne za łaski peregrynacji oraz w intencji małżeństw i rodzin naszej archidiecezji.

W ocenie tego duszpasterskiego działania na rzecz małżeństwa i rodziny, niemal wszyscy zainteresowani chcieliby zapytać o owoce tej peregrynacji. I słusznie, bowiem od strony organizacyjnej, duszpasterskiej, motywacyjnej było to zamierzenie nie tylko ambitne, lecz ogromne, skoro obejmowało wszystkie parafie archidiecezji. Czy są spektakularne owoce peregrynacji? Pytanie jest mocne, ale odpowiedź będzie spokojna. Cuda zdarzają się rzadko. Ale czy nie należy zaliczyć do „cudownego” owocu wstawiennictwa św. Joanny podczas peregrynacji decyzji młodej matki w stanie błogosławionym, która po uroczystości nawiedzenia relikwii oświadczyła swojemu księdzu proboszczowi, że chciała to dziecko zabić, jednakże teraz tego nie uczyni, pokochała je i ono będzie żyło!

Obronić godność małżeństwa i rodziny

Dokończenie ze str. 7



Peregrynacja relikwii św. Joanny Beretty Molli w diecezji wrocławskiej

Może takich „cudownych” owoców było więcej?! Faktem jest, że dziewczęta przystępujące do sakramentu bierzmowania tak często wybierały imię Joanna. Jest to bez wątpienia konkretny znak spotkania się ich ze Świętą, która zaintrygowała je swoją osobowością i wartościami, które jako kobieta, matka, żona i lekarka realizowała. Jeden z księży proboszczów, parafii liczącej około siedmiu tysięcy wiernych, oznajmił, że w bieżącym roku do czerwca udzieli więcej ślubów niż w całym ubiegłym roku. Uważa, że jest to konkretny owoc peregrynacji. Można powiedzieć, że są to, rzecz jasna, skromne przykłady, ale czy aż tak nikłe w swej wymowie. A przecież było ich tak wiele. Nie sposób jednak pominąć całego intymnego zakresu duchowych owoców, których adresatami stały się konkretne osoby, małżonkowie, rodziny. Tak jak to zauważył jeden z księży: *To, co najważniejsze, działo się w sercach, na modlitwie i w konfesjonatach.* Wzruszający był w każdej parafii obraz podchodzących do relikwii ludzi. Były to młode i starsze niewiasty, matki z dzieckiem na ręku, całe rodziny. Klękali i wpatrywali się w Relikwie lub obraz św. Joanny. Skupienie, modlitwa, a nawet często łzy – oto mały wyraz tajemnicy ich duszy, w którą wlewali nadzieję i pragnienie miłości. Należy mocno podkreślić, że peregrynacja relikwii św. Joanny Beretty Molli po Dolnośląskiej Ziemi, w parafiach archidiecezji wrocławskiej, w trosce o małżeństwo i rodzinę, to przede wszystkim wyzwolenie potężnego kapitału duchowego dla

młodzieży, narzeczonych, matek w stanie błogosławionym, małżeństw i rodzin. Trzeba mieć chrześcijańską nadzieję, że z tego kapitału czerpać również będzie nowe pokolenie uczniów Chrystusa w archidiecezji wrocławskiej i nie tylko!

Aktualnie relikwie św. Joanny Beretty Molli znajdują się na stałe w parafii św. Karola Boromeusza we Wrocławiu, w sanktuarium Matki Bożej Łaskawej, Królowej Małżeństw i Rodzin. Jako znak odbytej peregrynacji odbywać się będą przy nich trzy razy w roku, dni skupienia dla narzeczonych z parafii wrocławskich. Zamierza się też organizować uroczystości jubileuszowe z racji srebrnych lub złotych godów małżeńskich. W bieżącym roku, w Uroczystość Świętej Rodziny, 27 grudnia, zostaną zaproszeni małżonkowie przeżywający pierwszą rocznicę sakramentu małżeństwa, ci, którzy w ubiegłym roku uczestniczyli w dniach skupienia dla narzeczonych.

Niech ku Bogu w Trójcy Jedynej płynnie dziękczynienie od Kościoła wrocławskiego za ideę peregrynacji relikwii patronki małżeństw i rodzin w obronie małżeństwa i rodziny, we wszystkich parafiach archidiecezji. Niech też płynnie dziękczynienie, że dał nam w osobie św. Joanny płomienny przykład prawdziwej miłości i szacunku do życia. Święta Joanno, dziękując też Tobie za obecność z nami w Twoich relikwiach, nadal ufnie prosimy – módl się za narzeczonymi, małżeństwami i rodzinami i za nami wszystkimi!

KS. MARIAN BISKUP

Na naszych oczach zmienia się spojrzenie na płciowość. Do niedawna jeszcze owocem wielowiekowej ewolucji poglądów w tym względzie było dowartościowanie miłości ludzkiej, która stała się elementem konstytutywnym małżeństwa na równi z prokreacją, najgłębszym celem płciowości. Obecnie tradycyjne normy seksualne są szeroko podważane. Taka sytuacja zmusza do refleksji. Trzeba określić, które podstawowe zasady muszą dalej zachowywać swoją wartość w zakresie ludzkiej i chrześcijańskiej moralności seksualnej.

Właśnie wyżej wymienioną tematyką zajmował się znany ginekolog-położnik prof. Włodzimierz Fijałkowski, szeroko znany w całej Polsce, a także na świecie, jako twórca polskiego modelu Szkoły Rodzenia, promotor rodzicielstwa zgodnego z naturą, popularyzator wiedzy z zakresu naturalnego planowania rodziny i psychologii prenatalnej. W swoich pracach prezentował pogląd, że przekazywanie ludzkiego życia jest doskonałym biologicznie i psychologicznie procesem naturalnym, a bezpośrednia ingerencja technologiczna w ten proces ma charakter negatywny i szkodzi człowiekowi, a w konsekwencji gatunkowi ludzkiemu.

Swoje publikacje kierował do szerokich kręgów czytelników, do wszystkich zaangażowanych w dzieło ochrony macierzyństwa i poczętego dziecka, do lekarzy i położnych, pedagogów i psychologów, socjologów i polityków, a przede wszystkim do matek i ojców pragnących, aby w ich rodzinach życie rozwijało się zgodnie z prawami natury i osobowym prawem człowieka.

Prof. W. Fijałkowski wypowiadał się nie tylko jako lekarz, ale przede wszystkim jako humanista i chrześcijanin wierny nauce Kościoła. Opierał się na uzasadnieniach natury ekologicznej podkreślając, że rodzina, układ między rodzicami i łono matki tworzą wewnętrzne, naturalne środowisko, którego nie wolno niszczyć. Dawał on żywe świadectwo swojej wiary. Z wiarą wiązał i z wiary konsekwentnie wyprowadzał zasady etyki lekarskiej. Był

PŁCIOWOŚĆ WEDŁUG WŁODZIMIERZA FIJAŁKOWSKIEGO

Wyrażanie się miłości

ELŻBIETA RYDZAK

im wierny zawsze i do końca, zachęcał, aby płynąć pod prąd i trzymać się własnego nurtu, budując cywilizację życia i miłości.



Prof. Włodzimierz Fijałkowski

Płciowość darem Bożym

Pismo Święte ukazuje dwa elementy konstytuujące płciowość i jej miejsce w strukturze osobowej człowieka. Jest to ciężenie płci ku sobie, warunkujące byciem darem i przyjęcie daru drugiej osoby z samej siebie, oraz płodność i rozropne współistnienie z przyrodą (Rdz 1,28). Uwzględniając to przesłanie dostrzega się sens aktywności człowieka w sferze płci. Energia ta wyprowadza go z osamotnienia, uzdalnia do realizowania się poza sobą, do budowania komunikacji z otaczającym światem, do uruchomienia zainteresowań, które przekraczają ciasny krąg własnej egzystencji. Rodzenie nie sprowadza się do biologii, lecz oznacza współtworzenie ze Stwórcą nowych ludzi, dzielenie się z nimi wartościami, obejmuje działania, które sprzyjają „rodzeniu się na nowo” innych osób.

Włodzimierz Fijałkowski słusznie zauważył, że kluczem do zrozumienia

ludzkiej płciowości jest zdanie zapisane w Biblii, w Księdze Rodzaju, że: *Nie jest dobrze, żeby człowiek był sam (2,18)*. Profesor stwierdzał, że słowa te naprowadzają na podstawowy sens przejawów dynamiki seksualnej i jest on powszechnie aktualny. Podkreślał, że jest to dar szczególny, warunkujący kształtowanie się pełnej osoby w jej związkach z innymi osobami i zauważał, że skoro Bóg dał się poznać jako Stwórca, całe życie osobowe człowieka uwarunkowane jest relacją: Bóg – totalny Dawca, człowiek – totalny biorca. Tym samym Bóg uczynił nas wolnymi, a w wolności podjęty akt zbliżenia daje wiele łask, w jakie Bóg go wyposaża. Ten akt stwórczy Boga jest też źródłem godności i wartości małżeństwa.

Prawda Objawienia pozwala płciowość pojmować jako dar Boży, z którym Stwórca związał konkretne zadanie: *Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię i uczynili ją sobie poddaną (Rdz 1,28)*. Akt prokreacji jest udziałem w akcie stwarzania samego Boga. A więc płciowość skierowana jest ku płodności, która stanowi hojny dar Stwórcy, zawiera cząstkę stwórczej mocy samego Boga. Małżonkowie mają w sobie zdolność zrodzenia z pomocą Boga nowej istoty ludzkiej. Każde dziecko powinno być przyjęte jako dar Boży i otoczone miłością.

Według profesora Fijałkowskiego płciowość to dar Boży, talent ewangeliczny, który powinien być pomnażany, a nie zakopywany. W tym zestawie słów można dostrzec echo akceptacji słów Stwórcy, który *widział, że wszystko co uczynił, było bardzo dobre (Rdz 1, 31)*. Człowiek stworzony na obraz Boga jako mężczyzna i kobieta. Z woli Bożej natura ludzka ma charakter płciowy. Płciowość *jest bardzo dobra* – nie jest ani przypadkiem, ani skutkiem grzechu, jest Bożym darem, częścią Bożego planu dla człowieka.

Ekologia prokreacji

Jedną z dziedzin, którymi zajmował się profesor Fijałkowski jest ekologia

prokreacji. Ma ona na celu ochronę zdrowia w dziedzinie przekazywania życia. Wychodząc od przeciwstawienia kultury życia kulturze śmierci, proponował on, aby na większą skalę uruchomić wrażliwość ekologiczną i skierować ją na teren płci. W ochronie czystości środowiska przyrodniczego, szczególną pozycję zajmuje zdrowa medycyna, zwana przez profesora Fijałkowskiego „ekomedycyną”. Trudno nie zauważyć, że kultura śmierci zatacza coraz szersze kręgi. Medycyna podejmuje się takich działań niszczących jak antykoncepcja, aborcja, sterylizacja oraz eutanazja. Występują zagrożenia genomu ludzkiego, zanim on został poznany do końca.

Brak świadomości co do egzystencjalnego sensu płci oraz mentalność konsumpcyjna przyczyniają się do utrwalenia błędnych wyobrażeń i zachowań. Brak całościowej wizji człowieka z jego płcią wpisaną w strukturę osobowości jest głównym powodem postawy konsumpcyjnej oraz uprzedzeń, zniewolenia, lęku zmieszanego z agresją. Człowiek, będąc istotą zdolną do działania, w swoich zachowaniach często ogranicza się do reagowania. Skażona cywilizacja oferuje środki pozbawiające akty seksualne płodności i zdolności rodzenia. Respektowanie prawa naturalnego wraz ze spełnianiem wymogów ekologicznych, związanych z rozrodnością wskazuje na spójność ekologii z etyką.

Sfera płciowa została poddana na szeroką skalę niszczącej dezintegracji w postaci antykoncepcji, dla której alternatywą jest naturalna regulacja urodzin. Wynika ona z prawdy o człowieku, oraz jest poparta przez etykę katolicką. Antykoncepcja, według Profesora, jest sprzeczna z zasadami ekologii, ponieważ reprezentuje nieekologiczne, a więc szkodliwe dla zdrowia i życia sposoby rozwiązania problemu prokreacji. Stosowanie antykoncepcji uzależnia od

Dokończenie na str. 10

Wyrażanie się miłości

 Dokończenie ze str. 9

konieczności zdobywania i posługiwania się środkami ubezpladniającymi. Planowanie rodziny, oparte na respektowaniu biologicznego rytmu płodności jest jedynym ekologicznym działaniem, które reguluje obopólną płodność mężczyzny i kobiety. Jego ekologicznym uzupełnieniem jest karmienie piersią.

Rozmiary ekologicznego skazania sfery płciowej odzwierciedla niewłaściwe nazewnictwo. Prof. Włodzimierz Fijałkowski budował oczyszczalnię pojęć, aby zapoczątkować proces aktywnej ochrony środowiska wewnętrznego człowieka i przywrócić mu pierwotną czystość. Jego wielką zasługą jest „prostowanie ścieżek”, obalanie mitów, które dotyczą różnych terminów i sformułowań związanych z prokreacją.

Miłość, która jest darem

Główną koncepcję płciowości według Włodzimierza Fijałkowskiego można wyrazić jednym zdaniem: „płciowość chce być kochana”. Profesor zauważył, że współczesne pokolenie stanęło przed zadaniem przeciwstawienia się kulturze śmierci. Szkodliwość proponowanego w niej stylu życia dotyka człowieka, także jego płciowości. Popęd płciowy znajduje się obecnie pod presją dwóch skrajnych, w różny sposób niszczących tendencji. Z jednej strony propagowany jest model zachłannej eksploatacji sfery płciowej dla doraźnego zaspokojenia przyjemności. Z drugiej strony ukazuje się tłumienie i ograniczanie wszelkich poruszeń i przejawów sfery płciowej jako sposób panowania nad sobą.

Istotą powołania człowieka jest miłość, która jest darem. Taką funkcję spełnia ona u wszystkich ludzi, także żyjących samotnie, celibatariuszy, u których także ma miejsce osobowa komplementarność. Najpełniej realizuje się ona na płaszczyźnie fizycznej, psychicznej i duchowej w małżeństwie, ponieważ małżeństwo jest całkowitym darem osoby dla osoby. Zjednoczenie płciowe powinno być wyrazem miłości, zjednoczenia oso-

bowego, oraz zdolne do przekazywania życia poprzez respektowanie procesów biologicznych. Otwarcie na życie jest wyrazem prawdziwej miłości, a samo życie owocem tej miłości. Płciowość ludzka powinna realizować dwie wartości: miłość i rozrodczość.

Pomiędzy miłością a płciowością istnieje ścisły związek. Płciowość wskazuje na potrzebę miłości u człowieka i sposób, w jaki powinna być ona realizowana. Miłość jest czynnikiem humanizującym płciowość, nadając jej właściwy kierunek i kształt. Każde zjednoczenie płciowe zakłada istniejącą wcześniej miłość, która je usprawiedliwia oraz czyni godnym i czystym. Płciowość jest środkiem, który pozwala dwojgu ludziom wyrazić swoją miłość. Zjednoczenie seksualne pozbawione miłości jest zjawiskiem czysto fizjologicznym. Mówiąc o miłości małżeńskiej trzeba koniecznie mówić o płciowości.

Płciowość, by mogła nosić nazwę *ludzkiej*, powinna być ukierunkowana, podniesiona i zintegrowana przez miłość. Tylko bowiem w tym kontekście dojrzała pod względem biologicznym, psychicznym i emocjonalnym, płciowość wyraża się poprzez miłość jako bezinteresowny dar z siebie. Owo całkowite powierzenie siebie drugiemu człowiekowi nie może mieć charakteru tylko duchowego, lecz obejmując całą osobę ludzką dotyka także wymiaru doczesnego, w którym również oddaje się całkowicie. W istocie chodzi o to, by w spotkaniu płci było spotkanie z miłością.

Takie całościowe spojrzenie na płciowość wymaga samoopanowania siebie, wyrzeczenia i opanowania instynktu i przyjemności oraz podporządkowania ich miłości. Celem płciowości i współżycia płciowego jest ostatecznie miłość, której przyjemność powinna być podporządkowana. Energia seksualna ciągle oczekuje na objęcie jej miłością, która wymaga czystości. Sferę płciową człowieka trzeba objąć miłością, aby przywrócić człowiekowi wolność.

ELŻBIETA RYDZAK

„Tylko życie poświęcone innym warte jest przeżycia” – mawiał Albert Einstein. Niewątpliwie to prawda. Bo czym byłoby życie w pojedynkę, dla samego siebie? Byłoby długodystansowym biegiem po drodze pełnej dziur, bez możliwości zaczerpnięcia oddechu i wsparcia. A na mecie pojawiłaby się konkluzja, że ta długa droga nie miała celu i koloru. Była bez sensu...

Wielu ludzi we współczesnym świecie cierpi na bezsensowność. Choć na ogół nie jest to zjawisko zauważalne, jednak takie osoby codziennie mijamy na naszych ulicach, widzimy się z nimi w miejscach pracy, na spotkaniach. Niejeden z nich zamyka się też w swojej twierdzy z przeświadczeniem, że życie niczego nie jest warte. Pocięszające jest to, że wielu cierpiącym na bezsens, udaje się wyrwać z tej pułapki. Szczęściarzem jest więc ten, kto ma wokół siebie osoby, których nie dotknął tzw. tumiwizizm. Może liczyć na pomoc. Ale są też tacy, którzy z czasem tracą przyjaciół, znajomych, oddalają się od najbliższych. W ich życiu, jeśli nie zdarzy się cud, czeka się już tylko na koniec, który prędzej czy później nastąpi.

Chciałbym Wam, drodzy Czytelnicy, przedstawić historię o młodym człowieku, który niedawno stał na takiej ostrej i wąskiej krawędzi swego życia, a mimo to wygrał je na nowo. Początkowo myślałem, że ta opowieść jest fikcją, że ktoś zmyślił jej przebieg. Kiedy okazało się, że wydarzenia w niej zawarte miały miejsce niedawno i występowały w konkretnej rzeczywistości, zmieniłem zdanie. Oto historia, którą opowiedziano mi podczas jednego z długich letnich wieczorów...

Historia młodego chłopaka

„Wszystko zawałiło mi się nagle. Przerwałem studia, rodzina zaczęła naciskać, że marnuję życie, poznikali gdzieś znajomi. Zostali tylko ci, którym zależało na mnie, ale ja tego nie dostrzegłem. Byłem oślepiiony. Dlaczego? Nie potrafię podać powodu. Siedząc nad brzegiem rzeki, z bezradności płakałem. Chciałem mieć święty spokój, moc uciec od rzeczywistości, spróbować wszyst-

kiego od nowa. Byłem na to za słaby. Cały świat był dla mnie czarno-biały, a na wszystko znajdowała się odpowiedź – nigdy pozytywna. Zapłakany mówiłem do słuchawki: – „Mam już dość wszystkiego, nie daję rady, chciałbym zasnąć i więcej się nie obudzić, nie być dla nikogo problemem i ciężarem...” W słuchawce jednak słyszałem tylko ciszę...

na obserwację na przysłowiową chwilę. Jak się okazało pobyt w zakładzie psychiatrycznym musi być minimum dwutygodniowy. Zdążyłem jeszcze napisać sms-a: – „Przymknęli mnie. Nie wiem na jak długo. Przyjedź. Wychodzę z siebie.” Telefon wyłączyłem i musiałem oddać. Przyszedł po mnie salowy, aby zaprowadzić mnie na oddział. W podartej, śmierdzącej krochmalem piżamie i w ciężkich

ciekawość moją osobą. Patrzyli na mnie tak, jakbym popełnił najgorszą zbrodnię. Swoim wzrokiem rozpruwali mnie. Krótki korytarz okazał się najdłuższą i najgorszą drogą w moim życiu. Ale to był dopiero początek i zapowiedź szybkiego końca...

Skazali za dragi czy za samobója?

Wszedłem do sali i zająłem wolne łóżko. Po chwili dosztukowali do mnie dwóch innych pacjentów. Byłem zdruzgotany. – „Nowy kolega! A ciebie to za co tu skazali młody? Samobój? Dragi? Czy co?” – zostałem zasypany pytaniami. Nie chciałem odpowiadać. W ogóle nie chciałem nawiązywać z nimi kontaktu. Nie chciałem być jednym z nich. Po chwili wszedł do sali kolejny mężczyzna. W ręce trzymał długopis i zeszyt. Jeden z nich znowu zaczął zasypywać mnie pytaniami i tym razem wszystko spisywał. Jak się później okazało w swoim zeszycie miał dane wszystkich tych, którzy przebywali na oddziale. – „Jak tu trafiłeś? Jak się nazywasz? Skąd jesteś? Kiedy się urodziłeś?” – bełkotliwie zadawał pytania. Po chwili został jednak przepędzony. Również drugi mężczyzna próbował wyciągnąć ode mnie jakieś informacje. – „No powiedz, jak tu trafiłeś. Ja już tu siedzę od miesiąca, w sumie nie wiem nawet dlaczego. Co tydzień mówią mi, że wyjdę w przyszłym tygodniu, a już trwa to miesiąc. Jestem normalny, a siedzę w psychiatryku”. Przerwał mu starszy – „Bez powodu nie trzymają. Jesteś świr i tyle. Jak ja i każdy, kto tu trafia. Moja matka tak na mnie działała, że chciałem ją wyrzucić przez okno, ale się nie udało. Więc mnie przywieźli na oddział. Ale przynajmniej mam spokój. Ale jak wrócę dokończę, to co zacząłem. Witaj wśród nas!”. I zaczęli opowiadać. Okazało się, że na każdego pacjenta mieli coś do powiedzenia. Wiedzieli kto, z kim, gdzie, po co i dlaczego. Milczałem. Zapadał zmrok. Kolażi nie ruszyłem nawet, a nie chcąc wiedzieć co mnie otacza, pozostałem w sali. Wieczorem zapadła cisza, wszyscy kładli się spać. Tylko ja nie mogłem zasnąć. Światło pobliskiej, ulicznej latarni na jednej ze ścian sali rzucało cień okiennej kraty. Sprawdzająca każdą salę pielęgniarka spostrzegła, że nie śpię. Po chwili przyniosła jakieś proszki nasenne i zaraz zasnąłem.

Bo życie jest jedno

ANTONI SMOLIŃSKI

Wsiadłem na rower i pojechałem przed siebie. Droga rozmazywała mi się przez potok łez, gdzieś w mrocznych ulicach zgubiłem się. Ogarnął mnie wówczas przeraźliwy strach przed nieznanym. – „Boże krzychałem w myślach – jak bym chciał, żeby ten sen się skończył, albo żeby przynajmniej ja się wykończył...”

Oddział

Kilka dni później zmęczony moją sytuacją kolega umówił mnie na wizytę u lekarza psychiatry. Chciałem bowiem znać sposób na zdjęcie pętli, która coraz bardziej zaciskała się na mojej szyi. Kolega ostrzegł mnie, że to ostatnia rzecz jaką dla mnie robi. Niepewny poszedłem na umówione spotkanie. Miałem nadzieję, że otrzymam jakąś poradę, może nawet jakieś proszki. Moja wizyta okazała się jednak nieoczekiwanie dłuższa. Na moje nieszczeście – jak myślałem na początku. Powiedziałem lekarzowi, co mnie trapi. – „Proszę się przebrać w szpitalną piżamę, proszę oddać wszystko, co pan posiada, ostre przyrządy, pasek. Ze względu na pańskie i nasze bezpieczeństwo proszę oddać telefon komórkowy. Przyjmujemy pana na oddział” – usłyszałem. Początkowo myślałem, że zostanie przetrzymany

butach, w których przyszedłem, pełen przerażenia udałem się w nieznaną. Od tej pory dla świata stałem się świrem, a myśl o tym, czy faktycznie nim jestem, wierceła moją głowę.

Na drugim piętrze minęliśmy moją krętą i przeszliśmy drzwi prowadzące na oddział. Z drugiej strony klamki już nie było. Po drodze mignęły mi drzwi do gabinetów psychiatrów i psychologów. Salowy wyciągnął klamkę z kieszeni by otworzyć kolejne drzwi strzegące dostępu do całego oddziału. Białe i zamknięte na klucz. Aby się dostać do środka trzeba było użyć dzwonnka. Wszedłem do nieznanego mi dotąd świata. Czułem się jak więzień skazany na karę śmierci. To co widziałem, przerażało mnie. – „Mam tu być?! Mam być jednym z nich?” Świat, który znałem, zamknął się dla mnie, a ten który otwierał się przede mną był przestrzenią pozbawioną klamek. Od tej pory miałem się stać jednym z jego elementów. Po korytarzu snuli się bez celu mężczyźni, chodząc godzinami z jednego końca na drugi. Niczym zaprogramowani. Jeden z nich walił głową w ścianę, kolejny stał przy telefonie wpatrując się w niego jak w swoje zbawienie. Kiedy wszedłem na oddział wszystkich ogarnęła wielka

 Dokończenie na str. 12

Bo życie jest jedno

 Dokończeni ze str. 11

Dzień w psychiatryku

Rano obudził mnie krzyk. Wołali nas na śniadanie. Z łóżka jednak nie wstałem, wmawiając sobie, aby spać. Gdy w końcu obudziłem się przy łóżku stał mój kolega ze znajomą, którą także znałem od dłuższego czasu. Nie odezwałem się, ale mieszanka uczuć i emocji targała moim wnętrzem. Po chwili milczenia nie wytrzymałem i łamiącym głosem wydusiłem – „Nie chcę tu być...”. Kolega uściśnął serdecznie moją dłoń, mówiąc – „To dla twojego dobra”. Po chwili wyszedł skonsultować się z lekarzem. Gdy wyszedł znajoma przytuliła mnie mocno pocieszając, że na pewno wszystko się ułoży. Pograżony w płaczu i tulący się do przyjaciela chciałem, aby ta chwila trwała wiecznie. Całą tę sytuację obserwowali ci, z którymi znajdowałem się na sali. Po jakiejś godzinie nadszedł czas, aby spotkać się

z psychologiem. Znajomi musieli mnie opuścić. Gdy się żegnaliśmy dostałem Pismo Święte z zaznaczonymi niektórymi fragmentami tekstów. Po rozmowie z psychologiem wróciłem do sali i położyłem się. Wówczas leżący naprzeciw starszy mężczyzna powiedział do mnie kilka zdań, których nie zapomnę do końca życia – „Młody, czego ci w życiu potrzeba? Jeszcze tyle przed tobą, a ty chcesz wszystko zaprzepaścić. Przyszli do ciebie przyjaciele. Dceń to. Ciesz się, że masz takich ludzi, których ty obchodzisz. Ja takich nie mam. Nikt do mnie nie przychodzi, nie pociesza, nie dodaje wsparcia, jestem sam. Ja mogę kończyć życie, bo nic nie osiągnąłem, swoje przeżyłem, a celu żadnego nie mam. I nie mam żyć dla kogo. Ale ty to wszystko masz. Jak nawet celu nie widzisz to chociaż żyj dla tych, którzy przyszli do ciebie. Życie jest do nicze-

go, ale nie dla ciebie. Chcesz skończyć tak jak ja? Mieć całkowicie wszystko w głowie poprzekładane? Wszystko jest przed tobą, a chcesz na starcie już się poddać? To nie jest uczciwe. Spróbuj najpierw coś osiągnąć, a dopiero później myśl o porażce. To nie jest miejsce dla ciebie. Sam o tym doskonale wiesz. Tylko musisz w to wszystko uwierzyć na nowo...”. Nie odezwałem się. Zmęczony, po chwili usnąłem.

W porze obiadu poszedłem do sali, w której wydawano posiłki. Jadło się tylko łyżką. Przeżykając kolejne porcje w towarzystwie innych pacjentów, wiedziałem, że staję się częścią tej społeczności. Ale nie czułem się jednym z nich. Chciałem tylko jak najszybciej uciec z tego miejsca. Zacząć wszystko od początku, z lepszym podejściem do świata i do siebie samego. Po południu zatopiłem się w lekturze Pisma Świętego. Otworzyłem je na fragmentach, które już wcześniej były zaznaczone. – „Wysławiam, Ciebie, Panie, boś mnie wybawił i nie uradowałeś wrogów moim kosztem, Panie, mój Boże, do



Fot. Krzysztof Kunert

Ciebie wołałem, i Tyś mnie uzdrowił, przywróciłeś mnie do życia spośród schodzących do grobu. Płacz nadchodzi wieczorem, a raniem – okrzyki radości.” – czytałem. Kiedy do mojej sali wszedł młodszy mężczyzna kazał mi przestać czytać to badziewie. Nie zwracając uwagi czytałem dalej – „Panie, do Ciebie się uciekam, niech nigdy nie doznam zawodu.” – „Nie masz co robić?! Zostaw to, bo ci to zaraz spale albo wyrzucę przez okno! – groził mężczyzna. Nie ugiąłem się. Pod wieczór zadzwonił do mnie kolega. Stałem przy telefonie, jedynie słuchając. Po chwili dookoła mnie zaczęli gromadzić się pacjenci bacznie przysłuchując się niemiejskiej rozmowie. Byli niespokojni ponieważ czekali na telefon, który nigdy nie miał zadzwonić. A jednak stali całymi dniami i czekali. Czekali na coś lub na kogoś. Na pomoc, która nie przychodziła. Po długiej rozmowie wróciłem do lektury Biblii. Dzień zakończyłem słowami listu świętego Pawła do Koryntian – „Moc bowiem w słabości się doskonali. (...) Dlatego mam upodobanie w moich słabościach, w obelgach, w niedostatkach, w prześladowaniach, w uciskach z powodu Chrystusa. Albowiem ilekroć niedomagam, tylekroć jestem mocny”. Wszystko stało się jasne.

Idź do przodu!

Nazajutrz na spotkaniu z ordynatorem oddziału powiedziałem, że chcę na żądanie opuścić szpital. Nie uległem namowom na dalszą kurację. Po chwili otrzymałem swoje ubranie. Łzy garnęły mi się do oczu. Wychodząc miałem zamiar ucałować ziemię i z radości uściskać przechodzących ludzi. Właśnie rozpoczynało się moje „nowe życie”. Te kilka godzin pobytu w ośrodku wystarczyły, aby zrozumieć pewne rzeczy. Szpitalne przeżycie wystarczyło by zrozumieć, że do rzeczywistości powinno podchodzić się z dystansem, bo tylko wtedy daje się sobie szansę zobaczenia jej w lepszych kolorach. Aby żyć, nie trzeba rozpamiętywać i rozgrzebywać trudnej przeszłości. Starajmy się patrzeć do przodu, przed siebie, bo życie jest jedno. I pamiętajmy, że jesteśmy bogaci w tych, którzy pomimo trudów idą z nami. Strzeżmy tego bogactwa, a wtedy przekonamy się, że jest dla kogo żyć...

ANTONI SMOLIŃSKI

WYPĘDZENIA POLAKÓW Z WOŁYNIA W RELACJI NAOCZNEGO ŚWIADKA

O tym, że Niemcy wkroczyli do Polski dowiedzieliśmy się z radia. Myśleliśmy wówczas, że wojna nie potrwa długo. Byliśmy pewni, że Anglia i Francja, nasi sprzymierzeńcy, na pewno nie zawiodą. 1 września 1939 r. wydawało się, że jesteśmy daleko od walk, że tu na pewno nie dotrą.

Z Wołynia do piekła

Początek wojny

Kilka dni później zbombardowane zostało Równe. Pamiętam sylwetki samolotów na niebie, o których wszyscy mówili, że to Niemcy. W powietrzu czuło się napięcie. Mama płakała po kątach. Bała się, była przynębiona. Pamiętała pierwszą wojnę światową i osobiste cierpienia, które ją wtedy dotknęły. Tata też chodził wyraźnie podenerwowany. W tym czasie mieszkańcy naszej osady częściej się spotykali, pytając jeden drugiego, co dalej będzie. Przypominam sobie, że w 1939 r. było piękne lato. W sierpniu szykowałam się do pierwszej klasy. Oto spełniały się moje marzenia. W końcu, tak jak rodzicielstwo, miałam iść do szkoły. Kiedy 1 września zostałam w domu, byłam bardzo nieszczęśliwa. Po kilku dniach do naszego gospodarstwa, podobnie jak do całej Bajonówki, zaczęli docierać pierwsi uciekinierzy. Patrzyłam na ich zdekompletowane ubrania, wyczerpanie i pełne przerażenia oczy. Wiedziałam, że są tu przez wojnę, ale nie rozumiałam dlaczego. I choć wieści, które przynosili, niepokoiły, wszyscy byli przekonani, że Kresom nic nie grozi.

Rosjanie na Wołyniu

Wojna rozpoczęła się dla nas 17 września. Sowieccy żołnierze pojawili się przed południem. Ubrani w szmaty i opasani sznurkami nie wyglądali jak wojsko. Do naszego gospodarstwa trafił niewielki patrol, ale nie było to oddział NKWD, którego funkcjonariuszy zobaczyłam po raz pierwszy dopiero w Równem. Żołnierze NKWD chodzili w granatowych mundurach i mieli okrągłe czapki. Inaczej też się zachowywali, a na ich widok ludziom zaczynał towarzyszyć strach. Ci zaś, którzy przyszli do naszego domu, byli spokojni. Pozostali

tu kilka godzin. Zrobili pobieżną rewizję, chcieli broń i zegarki, a wcześniej wprost na polu zarekwirowali ojcu konia. Oczywiście, kazali podać sobie jedzenie. Byli zdziwieni, że nasz dom to nie kołchoz, że mieszka tu zwykła rodzina, a nie jacyś „burżuje”. W końcu poszli, ale rodzice byli pewni, że to dopiero początek. W tym czasie szosą na zachód przemieszczały się regularne oddziały sowieckiej armii. Strach i obawa towarzyszyły nam przez kolejne dni. Osadnicy, weterani wojny polsko-bolszewickiej, mieli świadomość, co może ich spotkać pod okupacją sowiecką. Zapowiedział to zresztą w Bajonówce jeden z politruków, który podczas zebrania, upity prawie do nieprzytomności, groził im śmiercią. Dlatego też kilka miesięcy później, w styczniu 1940 r., ponad pięćdziesięciu mężczyzn, a wielu, jak mój ojciec, z dorastającymi synami, przekroczyło nielegalnie niemiecko-rosyjską granicę. Z czasem mieli do nich dołączyć pozostali członkowie rodzin.

Pierwsze chwile grozy

Zanim jednak nastął styczeń, przeżyliśmy przedsmak dramatu, który dokonał się na naszych ziemiach. Któregoś dnia rozeszły się pogłoski, że nacjonaliści ukraińscy będą mordować Polaków. Z ostrzeżeniem przybiegł do nas jeden z miejscowych, ukraińskich sąsiadów, z którymi żyliśmy w pełnej zgodzie, a czasem nawet w przyjaźni. Osadnicy zadecydowali trzymać się razem i w razie konieczności bronić rodzin. Tego dnia na nocleg wybrali naszą przechowalnię owoców, w której schroniła się większość ludzi z Bajonówki. Mężczyźni zdecydowali się na to miejsce, ponieważ było obetonowane i nieco wpuszczone w

Z Wołynia do piekła

 Dokończeni ze str. 13

ziemię, a przez to łatwiejsze do obrony. To była dramatyczna noc. Stan zagrożenia, jaki wówczas panował, pamiętam do dziś. Kobiety z dziećmi przebywały wewnątrz, mężczyźni zaś uzbrojeni w widły i siekiery stali na warcie. W środku między jabłkami rozścielono słomę, na której ludzie starali się jakoś poukładać. Było ciemno i duszno, gdyż strop był bardzo niski, a niektórzy palili świece. Wkrótce zasnęłam, ale w nocy budziły mnie płaczące dzieci i uspakajające je matki. W kolejne dni, przynajmniej nasza rodzina, spaliśmy już w domu. Wiem, że inni w tym czasie chowali się po polach i lasach, a niektórzy spali na wozach.

Wczesne godziny poranne, październik 1939 r.

Prawdziwa tragedia zaczęła się dla nas 17 października. Tego dnia zostaliśmy wypędzeni z domu. Nasza sytuacja była o tyle nietypowa, że pierwszy transport Polaków w głąb Rosji odbył się 10 lutego 1940 r., a zakwalifikowane do

wywózki rodziny wysiedlano z domów kilka dni wcześniej. Natomiast nasze cztery osady ukraińscy żołnierze wy-



Fot. Krzysztof Kunert

Zofia Daniszewska, wypędzona wraz z rodziną w 1939 r. przez Ukraińców, następnie sybiraczka, dziś mieszkanka wrocławskich Popowic



Wrocławski Pomnik Ofiar Wołynia

Wypędzili w październiku 1939 r. Tego dnia usunęli tylko nas, a w następne wywłaszczano kolejnych osadników. Byliśmy pierwsi, być może dlatego, że nasze gospodarstwo było najbogatsze. Przyszli nad ranem. Około czwartej rodziców obudziło walenie do drzwi. Okazało się, że w drzwiach stoją jacyś żołnierze. Krzyčeli, że mamy się wynosić, że gospodarstwo od dziś nie jest już nasze. Zagrozili, że w południe, jeśli nie wyniesiemy się, zostaniemy rozstrzelani. Zdenerwowany tata próbował załagodzić sytuację, a mama, która jej nie zrozumiała, wzięła wiadra i poszła doć krowy. Najwyraźniej nie dotarło do niej, co mówili, lub nie potrafiła tego pojąć.

Fot. Krzysztof Kunert

Siedem godzin szabru

Zaraz też ci, którzy przyszli, oraz gromadząca się wokół zabudowań okoliczna ludność ukraińska weszli do mieszkania. Rozpoczęło się szabrowanie. Zabierali wszystko, co wpadało im w ręce. Zrywali nawet kilimy ze ścian

i firanki. Wkrótce żołnierze zaczęli pić wino zrobione przez ojca i niedługo potem poupijali się. Potem strzelali w powietrze, krzyčeli, byli coraz bardziej agresywni. Płacząca mama zaczęła nas pakować. Udało jej się zabrać jakieś pierzyny i trochę odzieży. Przygnębiony ojciec ładował rzeczy na wóz, bo jeden z mężczyzn, którego rodzice znali, pozwolił „pożyczyć” naszego konia i furmankę. Kiedy rodzice pracowali przy załadunku, my, dzieci, pozostawaliśmy w domu. Byłam wystraszona, płakałam i ze strachu nie wychodziłam na zewnątrz. Udało mi się schować jakieś drobiazgi, np. nożyczki, które kilka miesięcy później pojechały z nami na Syberię, i które dotarły ze mną nawet tu, do Wrocławia. Rodzeństwo pomimo strachu również starało się coś robić. Z czasem zaczęło przychodzić coraz więcej miejscowych. Wśród nich pamiętam twarze osób, które znaleźmy na co dzień, np. ukraińskie dziewczęta uczęszczające do Koła Gospodyń Wiejskich. W sumie przyszło ok. trzydziestu, czterdziestu osób, które kręciły się po naszych pokojach i zabierały, co popadnie. Potrafili nawet wrywać jakąś rzecz

z rąk mamy, a położony przez ojca na wóz worek z pszenicą jeden z mężczyzn zabrał dla siebie. Szaber, który odbywał się na naszych oczach, trwał ok. siedmiu godzin, aż do naszego wyjazdu, i po nim również. Opowiadał o tym już po wojnie bratanek ojca z województwa rzeszowskiego, który przed wojną pomagał rodzicom w gospodarstwie. Nic mu nie zrobili, bo był parobkiem. Mógł więc pozostać w naszym domu na Wołyniu, z którego jednak po jakimś czasie uciekł.

Dobrze pamiętam scenę odjazdu. Kiedy ok. godziny 12 opuszczaliśmy nasz dom, na dworze padał deszcz i wiał silny wiatr. Było bardzo zimno. Widzę jak dziś, że za nami biegały kury. Pytałam wówczas mamy – „Mamo, kiedy wrócimy do domu?”. Odpowiedziała: „Nigdy”.

Czekanie na ... Sybir

Mama i ja jechałyśmy na wozie, a tata szedł obok. Towarzyszył nam Ukrainiec. Pojechał z nami, bo chciał zaraz zabrać z powrotem konia i wóz. Żadna inna straż nam nie towarzyszyła. Do Równego było ok. 15 kilometrów. Nie docierało do mnie, że zostaliśmy wypędzeni. Do miasta dotarliśmy pod wieczór. Pojechaliśmy do znajomego, o nazwisku Górecki, który prowadził w Równem sklep. Tato przed wojną przywoził mu nabiał. Był mocno wystraszony, ale zgodził się przyjąć nas na nocleg. Całą noc przesiedzieliśmy na tobołkach w kuchni. Rano tato ze starszym bratem poszli szukać miejsca, w którym moglibyśmy się zatrzymać. Trafili do osiemdziesięcioletniej kobiety mieszkającej w suterenie. Wcześniej jej nie znaleźliśmy. W mieszkaniu była kuchnia i mały pokój. Ona mieszkała w kuchni, a my mieliśmy pokój. Tata kupił kilka wiązek słomy i rozścielił je na podłodze. Mieszkaliśmy tu przez prawie cztery miesiące, od 18 października do 10 lutego 1940 r. Tego dnia dla mnie, mojej matki, siostry i brata rozpoczęła się wędrówka w głąb piekła.

WYSLUCHAŁ
KRZYSZTOF KUNERT

KS. STANISŁAW MICHALAK (1935-2008)

Rok kapłański, ogłoszony przez papieża Benedykta XVI, jest nie tylko zaproszeniem do modlitwy w intencji kapłanów, ale również okazją do refleksji i wspomnień o kapłanach, którzy swoim życiem, pobożnością i charakterem stanowili dla innych wzór do naśladowania. Hasło tego roku: „Wierność Chrystusa, wierność kapłana” przypomina o stałości jako podstawie życia duchowego, w szczególności kapłana. Właśnie teraz zatem wypada przywołać postać jednego z kapłanów archidiecezji wrocławskiej, ks. Stanisława Michalaka, którego pierwszą rocznicę śmierci obchodziliśmy niedawno.

Być dla innych

ADAM KWAŚNIEWSKI

Kapłan niewygodny

Ks. Stanisław Michalak urodził się 12 czerwca 1935 roku w Uniejowie w rodzinie wielodzietnej i spośród licznych rodzeństwa był najmłodszy. Po zdaniu egzaminu dojrzałości i odbyciu studiów w Arcybiskupim Seminarium Duchownym we Wrocławiu 14 sierpnia 1960 roku przyjął święcenia kapłańskie. Do 1965 roku był wikariuszem w Oleśnicy, a następnie został skierowany do Strzelina. Tam też powierzono mu zorganizowanie parafii w pobliskim Kuropatniku, czemu jednak bardzo mocno sprzeciwiały się ówczesne władze. Kiedy wprowadził się na plebanię został nawet oskarżony o zerwanie państwowych plomb i skazany wyrokiem sądu na osiem miesięcy aresztu w zawieszeniu na 2 lata. Ostatecznie władze państwowe zgodziły się na utworzenie parafii w Kuropatniku jednak pod jednym warunkiem, że ks. Michalak opuści to miejsce. *W ten sposób ksiądz Michalak stał się „ofiara” położoną na fundamencie naszej parafii – wspomina pierwszy proboszcz parafii ks. Norbert Łukaszczyk.* Z powodu swojego temperamentu i wielkiego umiłowania prawdy ksiądz Stanisław był człowiekiem „niewygodnym” dla systemu komunistycznego. Często pod naciskami władz zmuszony był zmieniać placówki, na których pracował. Po opusz-

czeniu Strzelina i Kuropatnika pracował w Chojnowie (1966), a potem w parafiach: Świętych Piotra i Pawła w Legnicy (1966-1967), Chrystusa Króla w Dzierżoniowie (1967-1968), Świętego Jerzego w Wałbrzychu (1968-1970), w Starym Sączu (1970-1971). W 1971 roku został mianowany wikariuszem parafii katedralnej we Wrocławiu, w tym czasie obronił również pracę licencjacką na Papieskim Wydziale Teologicznym we Wrocławiu. Po opuszczeniu Katedry pracował jeszcze w Kątach Wrocławskich (1974-1975) i w Wiązowie (1975-1980), a w 1980 roku został mianowany proboszczem parafii w Kaczorowie.



Ks. Stanisław Michalak

Pobożność i otwarcie na człowieka

Pracę ks. Michalaka jako proboszcza cechowała przede wszystkim wielka pobożność i otwarcie na człowieka. Pierwszymi pracami wykonanymi w parafii były przystosowanie kościoła do tego, aby mógł być otwarty przez cały dzień i umieszczenie tabernakulum z Najświętszym Sakramentem w centrum ołtarza i świątyni. Jego zaangażowanie i chart ducha obrazuje chociażby fakt, że w środku stanu wojennego postawił w czterech wioskach należących do parafii krzyże,

Być dla innych

ESR Dokończeni ze str. 15

pomimo ostrego oporu ze strony władz. Wielkim ciosem dla ks. Stanisława był śmierć jego starszej siostry, którą sprowadził do Kaczorowa, aby pomagała mu w katechizacji dzieci i młodzieży. Dnia 31 października 1984 roku, w tym samym miesiącu, w którym zamordowano ks. Jerzego Popiełuszkę, uległa wypadkowi wracając późnym wieczorem na plebanie. Okoliczności tego wydarzenia, a także pominięcie niektórych procedur w trakcie śledztwa, do dziś nie zostały wyjaśnione, jednak ksiądz Michalak nie wspominał o nich w mowie pogrzebowej. Zamiast tego mówił o roli Maryi w życiu swojej siostry i o tym, że to wymowny znak – odeszła do Pana w miesiącu poświęconym Matce Bożej, po ostatnim nabożeństwie różańcowym. To bolesne doświadczenie sprawiło, że w 1985 roku opuścił Kaczorów i został mianowany proboszczem w Borowie, gdzie pracował do 2000 roku. Ze względu na stan zdrowia 14 czerwca 2000 roku przeszedł na emeryturę i zamieszkał w Domu Księżych Emerytów we Wrocławiu.

Będąc na emeryturze ks. Stanisław Michalak ciągle był bardzo mocno zaangażowany w duszpasterstwo. Przez kilka lat pomagał we wrocławskiej parafii Bożego Ciała, był również kapłanem sióstr karmelitanek i spowiednikiem w katedrze. Jedną z ważnych cech, z której znany był ksiądz Michalak, było niesamowite umiłowanie porządku i punktualność. Wspominają to niemal wszyscy: siostry karmelitanek, proboszcz parafii katedralnej, przyjaciele i parafianie w tych miejscach, gdzie pomagał w duszpasterstwie. Wszyscy zgodnie wspominają – kiedy wychodził do ołtarza, można było regulować swój zegarek. Wiele mogłoby powiedzieć o jego duchowości ci, którym prostował trudne drogi życia zza kratki konfesjonau, ukazując Boga pełnego miłosierdzia.

„Męczennik swoich czasów”

Tych kilka biograficznych informacji nie jest w stanie w pełni opisać osobowości ks. Stanisława. Bez wątpliwości był „męczennikiem swoich czasów”. W głoszeniu Słowa Bożego był autentyczny: konkretny i nie „ślizgający się” po problemach życia, ale chcący je rozwiązywać

– wspomina go jeden z księży naszej archidiecezji. Każdy kto mógł posłuchać jego kazań wie, że nie omijał trudnych tematów, ale nie mówił o nich jak profesor, ale jak przyjaciel. W ostatnich latach życia włączył się w Żywy Różaniec śp. ks. Aleksandra Zienkiewicza – „Wujka”. Należał także do Trzeciego Zakonu Karmelitańskiego i bardzo często odwoływał się w trakcie głoszenia Słowa Bożego do tej duchowości. W sposób szczególny umiłował „małą drogę” według św. Teresy od Dzieciątka Jezus, którą żył i gorąco propagował. Ks. Stanisław uczył o ważności i pierwszeństwie modlitwy, zwłaszcza w życiu kapłańskim. Ostrzegał przed zaniedbywaniem modlitwy – wspomina zelator „Róży Wujka”.

„Przebaczam wszystko i wszystkim”

Jak wspominają współpracownicy ks. Stanisława, nigdy nie narzekał na swój los. Rzec można: każdego dnia dawał świadectwo wiary, w której nieustannie obecny był krzyż

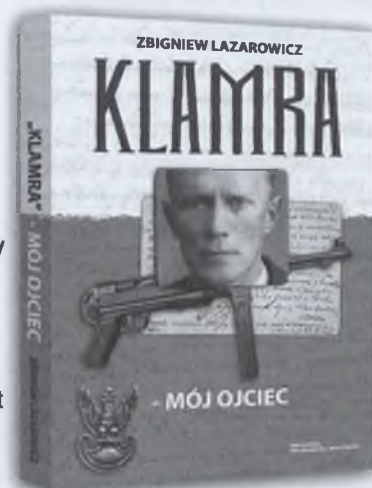
trudu, cierpienia i choroby. W obliczu wielu cierpień jakich ks. Michalak doznawał w czasie całego swojego życia, nad wyraz wymowne wydają się słowa, które zapisał w testamentie: *Sam przebaczam wszystko i wszystkim, którzy mnie świadomie zasmucili, czy chcieli obrazić. Staralem się zawsze usuwać ze swej duszy wszelkie urazy do kogokolwiek. Każdy kto znał ks. Stanisława zapamięta go nie jako „utrudzonego” życiem, ale jako człowieka niesamowicie pogodnego, sympatycznego, zawsze wesołego i uśmiechniętego. W sobotę 19 lipca 2008 r., miesiąc przed swoją śmiercią, ks. Stanisław odbył pielgrzymkę na Jasną Górę. W południe, w pięknej, liturgicznej asyście przybyłej właśnie pielgrzymki – wspomina jeden ksiądz – składając Najświętszą Ofiarę przed Cudownym Obrazem, podziękował Bogu za swoje życie i kapłaństwo. Ks. Stanisław narodził się dla nieba 23 sierpnia 2008 roku po 48 latach kapłaństwa.*

ADAM KWAŚNIEWSKI

Żołnierz Rzeczypospolitej

Książka o majorze Adamie Lazarowiczu już w sprzedaży!

Dzieje heroicznej walki o Polskę w relacji syna bohatera. Niespełna 17-letni żołnierz wojny z bolszewikami, nauczyciel i organizator życia społecznego, ostatni, przed wkroczeniem Niemców, komendant Dębicy, organizator ZWZ-AK, komendant Obwodu AK Dębica, dowódca największej bitwy partyzanckiej na Podkarpaciu. Ścigany od pierwszych chwil „wyzwolenia”, działacz NIE i WiN. Wiceprezes ostatniego, IV Zarządu Głównego WiN. Zamordowany w 1951 r. w więzieniu na Mokotowie.



Sprzedaż wysyłkowa:

32 zł za egzemplarz (wraz z kosztami wysyłki).

Zniżki dla bibliotek szkolnych – 15%.

www.wydawnictwo-lena.pl

info@wydawnictwo-lena.pl

tel. 0603 96 46 39

W lutym 1973 roku zamieszkałem z rodziną na wrocławskim Szczepinie. Była we mnie ogromna radość z własnego mieszkania, ale i wielki smutek z powodu braku na osiedlu kościoła. Terytorialnie Szczepin jest dużym osiedlem. Od fosy miejskiej na wschodzie do torów kolejowych z dworcem kolejowym Mikołajów na zachodzie. Od rzeki Odry na północy do torów kolejowych z dworcem Świebodziem na południu. Brak świątyni wielu mieszkańcom zachodniego Wrocławia bardzo dokuczał.

Kameralny kościół św. Antoniego

W pierwszych latach po wojnie kościołem parafialnym dla całego Szczepina i części Starego Miasta był kościół pw. św. Antoniego (od 1945 r. siedziba parafii św. Mikołaja). Do dzisiaj terytorium parafii obejmuje część naszego osiedla. Jest to dość oryginalna świątynia usytuowana w pierzei ulicy św. Antoniego. Architektura wykazuje wpływy baroku włoskiego. Budynek jest zwartą bryłą z wieżą, jednonawowy, na planie prostokąta z płytkimi kaplicami po obu stronach nawy i emporami nad nimi. Jednoprzęsłowe prezbiterium i trzyprzęsłowa nawa nakryte są sklepieniem kolebkowym z lunetami. We wnętrzu zaś spotykamy jednolite barokowe wyposażenie z pierwszej połowy XVIII w. Początkowo był to drewniany obiekt klasztorny zbudowany przez franciszkanów reformatorów w 1679 r. Murowany klasztor wzniesiony został przy kościele w latach 1681-1694. Kamień węgielny pod budowę świątyni położył biskup Ludwik Neuburg w dniu 10 maja 1685 r.

Moje kościoły parafialne na Szczepinie

TADEUSZ CZERNIEWSKI

Uroczyste poświęcenie kościoła odbyło się 14 grudnia 1692 r. W roku 1749, 22 czerwca w czasie burzy, od uderzenia pioruna w wieżę prochową wypełnioną materiałami wybuchowymi, nastąpiła eksplozja. Kościół i klasztor zostały zniszczone, a pękające mury przysypały kilku zakonników. Z czasem reformacykanowani przez władze pruskie za związki z Polakami zmuszeni zostali do opuszczenia siedziby, a kościół wraz z klasztorem przejęły elżbietanki.

30 kwietnia 2009 r. runęło zwieńczenie hełmu wieży kościelnej. W kuli zwieńczenia znaleziono dokument

z którego dowiadujemy się (fragmenty): *W roku 1793 z zarządzenia Jego Królewskiej Mości Fryderyka Wilhelma II klasztor został przekazany zakonowi sióstr Elżbietanek opiekujących się chorymi. (...) W roku 1806 w maju przeprowadzono naprawę wieży i pokryto ją blachą. (...) W roku 1867 ponownie w maju rozebrano wieżę aż do muru, ponieważ w następstwie wstrząsów po silnym sztormie wieża była bliska zawalenia. Konwent podjął decyzję nalożenia nowego hełmu wieżowego i pokrycia go blachą cynkową (...). W roku 1975 dokonano kapitalnego remontu dachu kościelnego, a na wiosnę 1976 r. wymieniono prawie całkowicie konstrukcję drewnianą wieży kościelnej zniszczoną kornikami i próchnicą aż do murów. Wieżę pokryto blachą miedzianą. Odnowiono również całą elewację kościoła.*

Pierwsza Msza św. po polsku

Po II wojnie światowej (1939-1945) w wyniku powrotu Dolnego Śląska do Polski kościół św. Antoniego służył jako świątynia parafialna parafii św. Mikołaja. Wcześniej jednak, w okresie wojny, Polacy mogli uczęszczać do tego kościoła w każdą pierwszą niedzielę miesiąca. Stąd też pewnie dlatego 13 maja 1945 r., ks. Kazimierz Lagosz odprawił w nim pierwszą Mszę dziękczynną za powrót Polski na Dolny Śląsk. Od 1946 r. parafia i kościół były obsługiwane przez Zgromadzenie Towarzystwa Salezjańskiego. W 1976 r. w parafii liczącej ponad 33 tysiące mieszkańców posługiwało 10 salezjanów (9 kapłanów i 1 brat zakonny) prowincji południowej.

Fot. Tadeusz Czerniewski



Kościół św. Antoniego

Moje kościoły parafialne...

 Dokończeni ze str. 17

Cel: zbudować kościół na pl. Św. Mikołaja

Jednak nieduży kościół przy ul. Antoniego z trudem mieścił wiernych. W czasie świąt, kiedy frekwencja na nabożeństwach była większa, ludzie niejednokrotnie mdleli. Salezjanie zajmujący się tą parafią mieli niełatwą pracę. Ale mieli też wytyczony cel: zbudować kościół pw. św. Mikołaja. Ruina tego kościoła, zgodnie z obowiązującym prawem, należała do katolików. Była niestety w opłakanym stanie. Po radzieckich bombach pozostały tylko ściany z przyporami. W latach 50. saperzy wysadzili i te pozostałości gdyż podobno groziły zawaleniem. Od tej pory do dziś jest tam łąka. Starania o od-

Wreszcie z trudem wywalczone zgodę na budowę w obrębie ulic Zachodniej, Młodych Techników, Stefana Czarnieckiego – obecnie Salezjańskiej i Inowrocławskiej. Lokalizacja była bardzo korzystna dla mieszkańców osiedla. Okazało się także, że powstający gmach miał być największą ówczesnie inwestycją kościelną realizowaną we Wrocławiu po wojnie.

Dom modlitwy i ośrodek kultury – kościół pw. Chrystusa Króla

Ta piękna, dwukondygnacyjna budowla zdobiąca krajobraz okolicy kryje w sobie właściwie dwa kościoły – kościół pw. Chrystusa Króla na

ne hełmami nawiązującymi do form hełmów rycerskich. W dwóch najwyższych hełmach znajdują się cztery dzwony. Najwyższa wieża kryje prezbiterium, największa nawę główną a dwie wieże symetryczne pokrywają nawy boczne. Wszystkie pokryte zostały blachą miedzianą w łuskę, a hełmy blachą i dachówkami. Dekoracja wewnętrzna skośnych płaszczyzn wież przypomina strukturę kryształu. Kościół obiegają emporie. Duża po przeciwnej stronie prezbiterium przewidziana jest na organy oraz na potrzeby chóru. W owym układzie krzyżowym znajdują się cztery wejścia zaznaczone wysokimi zadaszeniami. Sama budowa świątyni ruszyła na przełomie 1979 i 1980 r. Jeszcze tylko czekaliśmy na zatwierdzenia projektów, uzyskanie zezwoleń, wyznaczenie gabarytów budowy przez geodezję i już można było rozpocząć wykopy. Było to w kwietniu 1980 r., a do pomocy w pracach zgłaszało się wielu parafian.

Już 22 czerwca tego roku na plac budowy przybył abp Henryk Gulbinowicz, by poświęcić plac i pobłogosławić rozpoczętym pracom. Kolejna radosna data w życiu parafii to 24 grudnia 1981 r. Ówczesny proboszcz, ks. Ferdynand Baranowski, przewodniczył wtedy pasterce w dolnym kościele. Przybyła ogromna ilość wiernych a wiatr na całego hulał po budowie. Pamiętam do dziś, jak śpiew kołęd roznosił się z wielu radosnych gardeł po naszym Szczepinie. 12 września 1982 r abp wrocławski dokonał uroczystego wmurowania kamienia węgielnego. Akt wzniesienia świątyni wmurowano w dolnym kościele po prawej stronie. Natomiast pierwsza Msza św. w górnym kościele odprawiona została na Wielkanoc 1988 r. Kilka miesięcy później w jego prezbiterium zawieszono drewnianą rzeźbę przedstawiającą figurę Chrystusa Króla wykonaną przez Ryszarda Zamorskiego. Powstało także tabernakulum, wstawiono nowy stół ofiarny. Metropolita wrocławski pobłogosławił świątynię do kultu religijnego w dniu 24 listopada 1991 r., a konsekrował 9 kwietnia 2000 r. Obecnie kompleks budowli, oprócz dwóch kościołów, mieści klasztor salezjanów, liceum salezjańskie, świetlicę dla dzieci, salę teatralną, kawiarenkę, bibliotekę i salki dla działających w strukturze parafialnej organizacji.

Fot. Tadeusz Czerniewski



Kościół pw. Chrystusa Króla

zyskanie tego placu pod budowę nowej świątyni nie powiodły się, gdyż w jego otoczeniu przebudowano na początku lat siedemdziesiątych skrzyżowanie ulic Zachodniej i Rybackiej. Okrojony plac był zbyt mały na budowę świątyni. Pozwolono na postawienie drewnianego krzyża. Przypomina bogate dzieje kościoła, jednego z pięciu znajdujących się na Szczepinie przed wojną. Starania księdza Ferdynanda Baranowskiego o wzniesienie świątyni na Przedmieściu Mikołajskim trwały nieprzerwanie od kilku lat. Kościół wrocławski, Towarzystwo św. Franciszka Salezego i liczni wierni intensywnie wspierali te starania.

górnej kondygnacji i w dolnej części kościół pw. św. Mikołaja. Jednak założenia projektantów były szersze. Ostatecznie w pracowni architekta Wiktora Jerzego Molickiego powstał projekt łączący w sobie funkcje domu Bożego i katolickiego ośrodka kultury. Owocem tej pracy jest budynek – ostrosłup o podstawie kwadratu. Wnętrze, mogące pomieścić 3,5 tys. wiernych, rozplanowano na rzucie krzyża greckiego z ramionami wzdłuż przekątnych podstawy. Wieńczą je cztery, skupiające się ku środkowi, ostrosłupowe wieże o różnych wysokościach, stanowiące równocześnie dach budowli i zakończo-

Człowiek nie jest narzędziem produkcji!

ŁUKASZ HENEL

Od kilku lat fundacja Exit International rozwija swoją działalność polegającą na propagowaniu legalnej eutanazji. Założyciel tej instytucji, dr Philip Nitschke nie kryje zadowolenia – dochody z działalności systematycznie wzrastają. Oprócz półlegalnych zestawów z nembutalem, czyli środkiem służącym do usypiania zwierząt, „lekarz” reklamuje inne swoje „wynalazki”, które są po prostu makabrycznymi zestawami do popełniania samobójstwa lub zabójstwa. Już kilka lat temu fundacja wynajmowała statek, na pokładzie którego można było dokonywać „legalnej” eutanazji. Takich instytucji jest coraz więcej.

Fakt, że człowiek który sam siebie nazywa lekarzem, a jednocześnie uśmierca swoich pacjentów – jest szokujący i świadczy o zupełnym pomieszaniu pojęć, odwróceniu wartości, o których mówi Ewangelia.

Chrystus często bywa nazywany dobrym lekarzem. Na kartach Ewangelii uzdrowia nie tylko ludzkie dusze, ale także ciała. Nigdy nie rezygnuje, spieszy z pomocą, wskrzesza nawet zmarłych po to, by nauczyć, że dla Niego nie ma spraw beznadziejnych.

Pojawią się głosy mówiące, że Kościół pragnie skazać na cierpienie przewlekle chorych. Nie jest to prawda. Chrześcijaństwo nie jest religią cierpienia, ale religią radości. Cierpienie ma ogromną wartość duchową, ale jedynie wtedy, gdy jest dobrowolne. Nie ma więc mowy o „skazywaniu” kogokolwiek na męczarnie, jak to niektórzy próbują przedstawić.

Eutanazji nie popelnia się dlatego, że człowiek cierpi. To jeden z wielu mitów.

Współczesna medycyna rozwija się i już na chwilę obecną można zupełnie wyeliminować ból, nie uśmiercając pacjenta.

Kiedy słyszy się o działalności zwolenników eutanazji, kiedy dowiadujemy się, że cieszy się ona rosnącą popularnością, powstaje pytanie – co kieruje tymi ludźmi? Dlaczego otaczająca nas rzeczywistość okazuje się podatnym gruntem dla podobnych idei?

Wiele jest osób bardzo potężnych i wpływowych, nieraz nawet stanowiących prawo, które świat postrzegają jako maszynę do generowania własnego zysku. Człowiek starszy, schorowany, przestał być już dobrym „narzędziem produkcji”. Nie ma już z niego materialistycznie pojmowanego „pożytku”. Wręcz przeciwnie, wymagając opieki, „zabiera” on cenny czas ludziom młodym, których przecież można zagnać w tym czasie do pracy, po to, by tworzyli zysk nie dla siebie, ale dla właścicieli wielkich korporacji. Poza tym utrzymanie starszej osoby obciąża budżet i to nie tylko ten państwowy, ale też domowy. Redukuje pulę pieniędzy, które przeciętny obywatel mógłby przeznaczyć na konsumpcję dóbr – czyli – znów zasilić konta przedsiębiorców i bankierów.

W tej kwestii hipokryzja nie zna granic. Starszy człowiek ma najpierw stać się konsumentem najrozmaitszych preparatów „wzmagających vitalność”, poprawiających w sztuczny sposób samopoczucie. Jest postrzegany jako grupa docelowa wielkich kampanii reklamowych. Trzeba go również wykorzystać, zmusić do pracy, określa się to pięknym słowem – aktywizacja zawodowa. W praktyce jest to schorowany człowiek dorabiający

do żebacznej emerytury w wielkim hipermarkecie. Jednak z chwilą, gdy jego stan pogorszy się na tyle, że przestał już być dobrym klientem i narzędziem zysku – proponuje mu się śmierć. Próbuje się zrobić jeszcze jeden „dobry” interes. Sprzedać mu zestaw ułatwiający samobójstwo, zaoferować produkt o ironicznie brzmiącej nazwie „exit” czyli strzykawki z trucizną, lub „exit pills” czyli truciznę w tabletkach. Wyjście? Cóż to za wyjście i dla kogo jest ono przeznaczone, komu ono w rzeczywistości służy... Pomyślmy nad tym, pamiętając, że czasem pod płaszczykiem pięknych słów i deklaracji kryje się jedynie bezduszna polityka finansowa.

Chrześcijańska filozofia życia traktuje człowieka nie jako narzędzie produkcji czy klienta, ale jako osobę ludzką, której należy się pomoc i szacunek. W każdych okolicznościach, także tych najtrudniejszych. Osoba ludzka jest uświęcona – poprzez fakt, że sam Bóg stał się człowiekiem. Nikt nie zasługuje na śmierć tylko dlatego, że przestał przynosić zysk. Człowiek nie jest maszyną, a świat nie jest fabryką.



Łukasz Henel jest autorem książki przeznaczonej dla młodzieży pt. *Lekcja filozofii. Od Sokratesa do Heideggera...* (wyd. eSPe, Kraków 2009).

Katechizm i życie

Widząc czasem, że ktoś grzeszy, możemy mieć dylemat: powiedzieć tej osobie, że źle postępuje, czy może lepiej nie wtrącać się w jej prywatne sprawy. Przecież może się okazać, że z miłości bliźniego wypowiedziana uwaga zostanie mimo wszystko źle przyjęta i jedynie zyskamy wroga. Krzywda moralna, jakiej wówczas zaznamy, może być tak wielka, że w głębi duszy może zrodzić się pytanie: czy było warto? A przecież upomnienie braterskie to nasz moralny obowiązek, który nałożył na nas sam Jezus Chrystus. Kiedy więc należy je stosować? Jakich przestrzegać zasad, by mogło przynieść jak najwięcej pożytku i dobra innym? Czego warto się wystrzegać?

Kiedy należy stosować upomnienie braterskie?

Upomnienie braterskie powinno zawsze wynikać z miłości do drugiego człowieka. Może odnosić się zarówno do bliskich osób: męża, żony, przyjaciela, jak i kolegi z pracy, bądź kogoś, z kim spotykamy się przypadkowo np. sprzedawcy w sklepie, czy mijanego na ulicy dziecka. Nie może się nigdy wiązać z chęcią zemsty, czy odniesienia jakichkolwiek korzyści osobistych. Nie wolno kogoś upominać, by dawać upust jakimkolwiek negatywnym emocjom. Św. Teresa od Dzieciątka Jezus do jednej ze współsióstr powiedziała: *Jeśli zwrócenie przez ciebie uwagi sprawiło ci przyjemność, to źle albo niepotrzebnie zwróciłaś tę uwagę, co oznacza, że kiedy upomnienie braterskie jest dla upominającego przyjemnością, staje się bezwartościowe. Ten, kto upomina powinien wiedzieć, że jest to nie tylko odpowiedzialność, ale i trud, jaki bierze się na siebie. Dlatego potrafi to zrobić tylko ten, kto żyje miłością, dla którego drugi człowiek to po prostu bliźni.*

Oprócz upomnienia braterskiego możemy wyodrębnić inne jeszcze formy upomnienia, jak służbowe i rodzicielskie. Pierwsze ma na celu uzyskanie jakiegoś dobra; wiązać się może jednak owo upomnienie z określonymi sankcjami, które zwierzchnik ma prawo zastosować wobec podwładnego: w formie pisemnej lub w cztery oczy, czasem nawet przy innych współpracownikach. Pociąga to za sobą obowiązek przyjęcia przez upomnianego przedstawionych mu uwag. Podobnie sprawa wygląda w przypadku upomnienia rodzicielskiego, które, mimo że wypowiedane jest w imię miłości, niesie z sobą element posłuszeństwa, jakie dziecko winne jest rodzicowi. W upomnieniu braterskim natomiast nie ma mowy o jakimkolwiek elemencie posłuszeństwa; jego fundamentem jest miłość i wolność, a nie konieczność lub powinność.

Wydaje się, że współcześnie coraz częściej dominuje postawa obojętności.

Nie chcemy niekiedy zwracać uwagi źle czyniącym, motywując to tym, że lepiej jest nie angażować się w nie nasze sprawy i mieć tzw. święty spokój; inni z kolei tłumaczą się: *przecież wcale nie jestem od nikogo lepszy* i w ten sposób sprytnie unikają potrzeby upomnienia, tłumacząc siebie swoją słabością moralną. Tak rozumując można byłoby jednak powiedzieć, że tylko ten ma prawo zwrócić uwagę innym, kto sam jest moralnie bez zarzutu. Lecz gdzie znaleźć takiego człowieka? Dlatego kryterium upominania nie jest to, czy

jesteśmy grzeszni, czy nie, lecz czy kogoś darzymy chrześcijańską miłością.

Ważne jest także, aby znaleźć w sobie na tyle odwagi, by w sytuacji tego wymagającej umieć wypowiedzieć trudne słowa prawdy. Niechlubny przykład braku odwagi znajdziemy w Ewangelii, w osobie Piłata.

Kiedy więc należy upominać? Podejście chrześcijańskie w tej kwestii zakłada każdą sytuację, która niesie w sobie zło. Tak więc zawsze wtedy, gdy ktoś bezpośrednio, w sposób fizyczny, moralny czy duchowy, wyrządza nam krzywdę, ale także wtedy, gdy widzimy, że drugi człowiek grzeszy wobec bliźnich.

Kiedy upomnienie braterskie wypowiedziane jest z miłością oraz z miłością przyjęte, wówczas przynosi pożądane owoce. Ważne jest, aby osoba, którą upominamy, odczuła, że bardziej zależy nam na niej niż na naszej własnej korzyści. Zwracając komuś uwagę, należy się liczyć z tym, że może się ona spotkać nie tylko z reakcją, jakiej byśmy sobie życzyli, ale także z możliwą obojętnością, irytacją, a nawet wrogością. Taka postawa wynika zwykle z niedojrzałości emocjonalnej i duchowej osoby, której upomnienie dotyczy. Dojrzały człowiek na usłyszane słowa krytyki reaguje spokojnie, bez negatywnych emocji. Jeśli się z czymś nie zgadza, stara się przedstawiać kontrargumenty, rzeczowo tłumaczyć swój punkt widzenia, by przemyśleć usłyszane zarzuty i właściwie skorygować swoje postępowanie.

Z Katechizmu Kościoła Katolickiego

Art. 1435. *Nawrócenie dokonuje się w życiu codziennym przez czynny pojednania, troskę o ubogich, praktykowanie i obronę sprawiedliwości i prawa (por. Am 5,24; Iz 1,17), wyznanie win braciom, upomnienie braterskie, rewizję życia, rachunek sumienia, kierownictwo duchowe, przyjmowanie cierpień, znoszenie prześladowania dla sprawiedliwości (...).*

Art. 1829. *Owocami miłości są radość, pokój i miłosierdzie. Miłość wymaga dobroci i upomnienia braterskiego; jest życzliwością; rodzi wzajemność; trwa bezinteresowna i hojna. Miłość jest przyjaźnią i komunią (...).*





Diecezjalne Pismo Liturgicznej Służby Ołtarza

Savoir vivre – czyli ministrant na kolędzie

Od wielu lat jestem ministrantem parafii katedralnej. Co roku w styczniu wraz z moimi kolegami uczestniczymy w wizytach duszpasterskich. Przychodzimy do katolickich rodzin, aby uczestniczyć w modlitwie prowadzonej przez kapłana, wypraszać wiele łask Bożych na Nowy Rok. Sporo osób przyjmuje nas z otwartymi ramionami, czasami jednak spotykamy się ze sprzeciwem i brakiem wyrozumiałości. Jak radzić sobie w takich sytuacjach? Jak zachować się na kolędzie?

Naszą podstawową zasadą podczas tzw. „kolędy” jest kultura osobista. Zachowujemy się zawsze najlepiej jak potrafimy, musimy bowiem godnie reprezentować Kościół. Podczas zapowiedzi pukamy do każdych drzwi, pozdrawiamy Pana Jezusa i pytamy się mieszkańców: *Czy przyjmują Państwo księdza po kolędzie?* Po usłyszeniu odpowiedzi twierdzącej udzielamy wszystkich potrzebnych informacji: kiedy przyjdzie ksiądz i w jakim przedziale czasowym. Bardziej wymagających parafian zawiadamiamy także, który duszpasterz przybędzie z wizytą. W przypadku, gdy domownicy nie życzą sobie księdza (a takie przypadki zdarzają się coraz częściej) grzecznie odchodzimy od drzwi mieszkania. Nawet jeśli jakaś niekatolicka osoba zacznie nas obrażać i poniżać, powinniśmy zachować zimną krew i nie wdawać się w dyskusję.

Po dokonanej zapowiedzi wraz z księdzem udajemy się do poinformowanych wcześniej domostw. Ponieważ odwiedzi-ny duszpasterskie odbywają się w zimie, często na dworze jest mokro, stąd pierwsza ważna czynność, o której musi pamiętać każdy ministrant to wytarcie obuwia! Nie można wejść do czyjś mieszkania w brudnych traperach i udekorować komuś dywany wzorkami z błota. Gdy wraz

z kapłanem znajdziemy się już w mieszkaniu katolickiej rodziny, zwracamy się w stronę krzyża i rozpoczyna się bardzo ważny moment jakim jest wspólna modlitwa i błogosławieństwo. I tu należy pamiętać o drugiej bardzo ważnej zasadzie – modlimy się głośno. Zdarza się bowiem tak, że parafianie bywający w kościele „od przypadku do przypadku” zapomnieli treści podstawowych modlitw i wtedy po słowach kapłana „Ojcze nasz...” następuje niezręczna cisza. Dlatego my musimy dawać świadectwo takim ludziom i poprzez modlitwę ukazywać im głębię swojej wiary. Nie możemy też rozglądać się po mieszkaniu i zaglądać ludziom w regały. Tym bardziej między sobą musimy powstrzymać się od wszelkich komentarzy na temat wystroju mieszkania, bądź panujących tam warunków.

Po poświęceniu mieszkania duszpasterz zostaje z rodziną, a my wychodzimy, aby przygotować kolejnych mieszkańców do wizyty kapłana. Często jednak ludzie sami wychodzą przed drzwi swojego mieszkania i z utęsknieniem w oczach czekają, aż ksiądz wejdzie w progi ich domu. Wtedy to częstują nas różnymi przysmakami – owocami, cukierkami, batonami (oczywiście, jeżeli ksiądz jest planowo) lub okazują swoje niezadowolenie, jeśli „kolęda” odbywa się z poślizgiem. Pamiętajmy wtedy o zachowaniu spokoju, grzecznie przepraszamy za opóźnienie, które nie jest z winy księdza czy ministrantów, ale bywa czasami, że sąsiedzi chcą porozmawiać z kapłanem na różne tematy lub zapytać o sprawy związane z religią i wiarą. Ksiądz, próbując rozwiązać nurtujące problemy, przebywa u niektórych rodzin nieco dłużej i tym samym „kolęda” nabiera spóźnienia. Jeśli jednak duszpasterz spędza zbyt wiele



czasu w jednym mieszkaniu, ministranci mają tajną broń, która prawie zawsze skutkuje – dzwonek, którym delikatnie i z wyczuciem mogą zasygnalizować upływający czas!

Czas spędzony przed domami czy mieszkaniami nie może wiązać się głośnymi rozmowami lub zabawami, gdyż parafianie oczekują od nas właściwego zachowania i spokoju.

Musimy pamiętać jeszcze o ubiorze, aby był schludny ponieważ jesteśmy gośćmi w domach parafian, którzy na odwiedzi-ny księdza i ministrantów ubierają się odświętnie, aby wyrazić swój szacunek wobec osoby duchownej. Niewłaściwe byłoby zatem, gdyby ministrant miał nie umytą głowę, brudne paznokcie, czy też pomiętą i zabrudzoną komeżkę.

I tak wędrujemy od rodziny do rodziny, od mieszkania do mieszkania. Po drodze napotykamy wiele ciekawych przygód, poznajemy nowych ludzi, i co najważniejsze – pomagamy w corocznej posłudze naszym kapłanom. Jako wieloletni uczestnik wizyt duszpasterskich mogę śmiało stwierdzić, że każda „kolęda” niesie ze sobą wspomnienia, o których nie można zapomnieć.

LEKTOR MARCIN WACHOWIAK

Adwentowe przygotowanie

Przed wizytą ważnego gościa chcemy mieć wszystko dopięte na ostatni guzik. Sprzątamy dom, prasujemy biały obrus, wiele godzin spędzamy w kuchni na przyrządzaniu wymyślnych potraw i kiedy wszystko jest już gotowe niecierpliwie czekamy. Adwent z (łac. *adventus* czyli przyjście) to właśnie czas oczekiwania na pojawienie się Tego Najważniejszego Gościa. Ludzie, którzy żyli przed nami, wyglądali tego przyjścia wiele tysięcy lat. Warto docenić dobrą sytuację w jakiej się znajdujemy – dla nas będą to raptem cztery niedziele. Każdy ministrant przeżywał w swoim życiu już niejedną Adwent. Było ich tak wiele, jednak czy przez to zbyt nam nie spowszedniały? Powinno to być okazją do zatrzymania się i przygotowania swojego serca, aby mogła zamieszkać w nim Boża Dziecina. Po całym roku pewnie jest co porządkować. Warto wspomnieć, że ten okres ma nas nie tylko przygotować na dzień Bożego Narodzenia, ale również przypomnieć, że całe nasze życie jest oczekiwaniem na ponowne pojawienie się Pana na ziemi, gdy przyjdzie na końcu czasów, aby sądzić żywych i umarłych.

Wielu uważa, że Adwent jest bardzo podobny do Wielkiego Postu. Te dwa okresy mają jednak całkiem odmienny charakter. W adwencie nikt nie każe nam sypać głów popiołem ani przywdziewać pokutnych worów. W adwencie Kościół kładzie nacisk na oczekiwanie i refleksje. My wszyscy, którzy kroczyliśmy w ciemnościach i zakamarkach naszego życia, czekamy na Światłość Wielką. Nie tkwimy w niepewności i beznadziei, gdyż wiemy, że On się narodzi naprawdę i na pewno. Jak więc „dobrze czekać” na Jego przyjście? W godnym przeżywaniu tego czasu Kościół przychodzi nam z pomocą.

Z tym czasem jednoznacznie kojarzą się „roraty”. Podczas nich w sposób szczególny podkreśla się niezwykle oczekiwanie Maryi. Ta zwyczajna kobieta otrzymała tak wielką łaskę i tak trudne zadanie. Podczas objawienia (zwiastowania) nie zadawała zbędnych pytań, ale bez wahania poddała się woli Bożej. Dla nas powinna być wzorem jak oddać się Bogu całkowicie, bez reszty. Msze święte roratnie, zwłaszcza te odbywające się wczesnym rankiem, mają niecodzienny charakter. Na początku każdej z tych mszy krocymy w mrokach świątyni ze świecą lub lampionami. Następnie kapłan wyraża pragnienie wszystkich wiernych słowami: „Niebiosa spuście z rosą Sprawiedliwego!”. Pomimo tego niesamowitego klimatu jakże ciężko jest wstać na 6.00 (albo i wcześniej) do kościoła. Dla wielu z nas, tak wczesna pobudka to prawdziwa walka z własnymi słabościami i lenistwem. Nie jest to łatwe. Maryi również nie było łatwo porodzić Syna Bożego w zimnej stajni, dlatego może zdobędziemy się, aby wstać parę razy o świcie i pójść ze zrobionym przez siebie lampionem na roraty. Nawet jeśli ulegniemy pokusie i nie posłuchamy dzwoniącego z rana budzika, to w dzisiejszych czasach to nie problem. Msze roratnie odbywają się również po południu więc każdy, nawet największy śpioch może w nich uczestniczyć.

W przeciwnieństwie do okresu Wielkiego Postu urządzenie zabaw hucznych nie jest zakazane. Tylko czy moje wyjście na imprezę pomoże mi w przygotowaniu się na narodziny Pana Jezusa? Jeśli nie pomoże, albo wręcz przeszkodzi, to chyba lepiej na parę tygodni dać sobie spokój z hałaśliwymi klubami. Warto za to częściej sięgać po Pismo Święte, poświęcić choć parę minut więcej na codzienną modlitwę oraz wziąć udział w rekolekcjach adwentowych.

Dobrze, aby ten okres różnił się w naszym życiu od całego zabieganego roku. Godnie przeżyty adwent dopomoże w Dzień Bożego Narodzenia ujrzeć Światłość Wielką i rozpromienić się prawdziwą radością.

LEKTOR WOJCIECH STAŃCZYK



Fot. Krzysztof Kunert



STRONA INTERNETOWA

W październiku ruszyła strona internetowa diecezjalnego duszpasterstwa Liturgicznej Służby Ołtarza (www.lso.archidiecezja.wroc.pl). Strona ta przeznaczona jest dla członków LSO, i mamy taką nadzieję, również przez nich tworzona. Dlatego zachęcamy was i waszych duszpasterzy do włączenia się we wspólnie tworzenie tej strony. Czekamy na informacje i zdjęcia o tym, co dzieje się w waszych parafialnych wspólnotach LSO – o uroczystościach parafialnych, wycieczkach, spotkaniach, zawodach sportowych w jakich bierzecie udział. Wasze informacje będą ożywiały naszą stronę i staną się świadectwem, że bycie ministrantem to coś więcej niż tylko dodatkowy obowiązek.

Wszystkie pytania i informacje kierujcie pod adres cyfkar@interia.pl

I OGÓLNOPOLSKIE MISTRZOSTWA MINISTRANTÓW W SZACHACH

21 listopada w Starachowicach, w diecezji radomskiej, odbędą się I Ogólnopolskie Mistrzostwa Ministrantów w szachach. Zachęcamy do wzięcia udziału w mistrzostwach i reprezentowania nie tylko waszych parafii, ale także naszej archidiecezji. Szczegóły zostały rozesłane do każdej parafii więc pytajcie waszych księży opiekunów.

Zgłoszenia:

Do dnia 15 listopada 2009 roku pisemnie pod adres:
Katolicki Klub szachowy 27-200 Starachowice, ul. Moniuszki 117
lub tel. 0 602 770 251;
albo pocztą elektroniczną: starachowice.szachy@interia.pl

SPOTKANIE DIECEZJALNYCH DUSZPASTERZY LSO

W dniach 16 i 17 listopada odbędzie się w Warszawie już 61 Spotkanie Diecezjalnych Duszpasterzy LSO. Podczas spotkania oprócz modlitwy, będą poruszane ważne tematy, dotyczące działalności i formacji LSO. Między innymi diecezjalni duszpasterze będą rozmawiać o:

- Pomocach służących lepszej formacji służby liturgicznej
- Zaangażowaniu członków LSO w życie wspólnot parafialnych.

Pamiętajmy w modlitwie w tych dniach o tym ważnym spotkaniu.

DNI SKUPIENIA W SEMINARIUM

Wszystkich, którzy myślą o powołaniu do kapłaństwa lub szukają czasu na wyciszenie i refleksję nad drogą życia, zachęcamy do wzięcia udziału w dniach skupienia organizowanych przez Metropolitalne Wyższe Seminarium Duchowne we Wrocławiu.

Najbliższe terminy to:

21-22.11.2009

16-17.01.2010

Szczegółowych informacji można zasięgnąć:

tel. 071 321 41 71

e-mail: mwsd@pwt.wroc.pl

<http://www.seminarium.wroclaw.pl/>

Powołanie Jozuego

Pan odpowiedział Mojżeszowi: „Weź Jozuego, syna Nuna, męża, w którym prawdziwie mieszka Duch, i włóż na niego swoje ręce. Następnie przywiedź go przed kapłana Eleazara i przed całą społeczność i ustanów go w ich obecności wodzem. Przenieś na niego część twojej godności, by cała społeczność Izraelitów była mu posłuszna” (Lb 28,18-20).



Jozue, syn Nuna z pokolenia Efraima jest niewątpliwie kolejną postacią starotestamentową, którą Bóg wybrał i powierzył mu niezwykle ważną misję do spełnienia. Jednakże kiedy przyjrzymy się bliżej opisowi powołania Jozuego, zauważymy, że różni się ono diametralnie od opisów wezwania Abrahama, Mojżesza przez Jahwe. Powołanie Jozuego, można powiedzieć, jest czymś nowym, jeszcze nie spotkanym we wcześniejszych opisach pochodzących z Księgi Rodzaju czy Księgi Wyjścia. Co zatem różni wybranie Jozuego od wezwania Abrahama i Mojżesza? Dlaczego Jahwe wybiera właśnie jego na swego sługę spośród całego zgromadzenia Izraela?

Bóg nie powołuje syna Nuna wprost tak, jak patriarchę z Ur, lecz poprzez pośrednika – Mojżesza, który, będąc blisko Ziemi Obiecanej, zatroskany o losy Izraela, świadomy tego, iż nie będzie mu dane wejść do Kanaanu, lecz będzie oglądał tę krainę z daleka, prosi Jahwe o wyznaczenie przywódcy. Bóg przychylny prośbie Mojżesza wskazuje na Jozuego, który szczególnie zaznaczył się w walce przeciw Amalekitom (Wj 17,8-16), towarzyszył Mojżeszowi w wędrówce na Górę Synaj (Wj 24,13), wziął udział w wyprawie wywiadowczej do Kanaanu (Lb 13,8), a nade wszystko mieszka w nim duch.

W powołaniu Jozuego zauważamy nie spotkany wcześniej obrzęd nałożenia rąk. Bóg poleca Mojżeszowi, aby włożył ręce na wybranego, zaprowadził go przed kapłana Eleazara i całe zgromadzenie Izraela, a następnie ustanowił go wodzem.

Bóg jednak stawia warunki Jozuemu. Musi on mieć Prawo na ustach, starannie je rozważać i wypełniać. Realizacja tych obowiązków sprawi, że Pan będzie się nim opiekował. *Jak byłem z Mojżeszem, tak będę z tobą, nie opuszczę cię ani porzucę. Bądź mężny i mocny, ponieważ ty rozdasz temu ludowi w posiadanie ziemię, którą poprzysiągłem dać ich przodkom (Joz 1,5-6).*

Jozue wprowadził Izraelitów do Ziemi Obiecanej i przewodził w ich walce. Dwa razy odnowił przymierze z Bogiem, na początku i końcu swego życia, które było przypomnieniem prawa Bożego i wezwaniem do wierności.

Może właśnie dziś, wpatrując się w postać Jozuego zastanowię się jak ja – chrześcijanin – wypełniam swoje obowiązki, czy świadczę o Bogu całym swoim życiem, czy jestem mu wierny? Może nadszedł czas, aby odnowić przymierze...



Santo subito – żywa pamięć

Grafiki Nani Tedeschi prezentujące Papieża Polaka, zdjęcia Krzysztofa Bramorskiego dokumentujące żałobę po śmierci Jana Pawła II oraz pamiątki związane z osobą Papieża, w tym z podróży do Wrocławia w latach 1983 i 1997 można oglądać na wystawie Santo subito! – pamięć żywa we wrocławskim Muzeum Archidiecezjalnym.

16 października Metropolita Wrocławski, ks. abp Marian Gołębiewski oraz dyrektor Muzeum Archidiecezjalnego, ks. prof. Józef Pater oficjalnie otworzyli wystawę *Santo subito! – pamięć żywa*. Z dużą radością przyjąłem wiadomość o organizacji wystawy poświęconej największemu Polakowi, Janowi Pawłowi II, tymi słowami ksiądz arcybiskup rozpoczął wernisaż wystawy. *Ta wystawa to powrót do przeszłości, obrazu Papieża Polaka, jakże wymownie pokazanego przez włoskiego artystę i naszych wspomnień, zatrzymanych na fotografiach* – dodał. Licznie zgromadzonym gościom życzył niezapomnianych wrażeń i głębokich refleksji, a organizatorem pogratulował pomysł.

Dyrektor Muzeum Archidiecezjalnego, ks. Józef Pater, wprowadził gości w prezentowaną tematykę oraz przedstawił autorów prac. Wystawie towarzyszy specjalnie na tę okazję wydany katalog – przewodnik. Ekspozycja *Santo subito! – pamięć żywa* zajmuje cztery sale muzealne. Tylko część prac zamknięto w szklanych gablotach, większość eksponatów można oglądać z bliska. To nadaje nastrój oraz sprawia wrażenie bliskości Papieża. Wystawę rozpoczynają grafiki Nani Tedeschi, pochodzące z cyklu „Totus Tuus”, który w całości

obejmuje 60 prac. Artysta zaprezentował postać Papieża od lat młodości do ostatnich dni życia. Przy każdej z grafik warto zatrzymać się na dłużej, zwracając także uwagę na towarzyszące pracom cytaty z wypowiedzi Papieża. Szczególnie przejmujące są grafiki nawiązujące do ostatnich dni życia Jana Pawła II – „milczącego błogosławieństwa” z okna papieskiej biblioteki. To brutalny obraz cierpienia, po którym następuje spokojne odejście, symbolizowane przez wiatr w dniu papieskiego pogrzebu...

Wśród grafik prezentowane są fotografie Krzysztofa Bramorskiego dokumentujące dni żałoby po śmierci Jana Pawła II oraz swoiste „spotkania

pamięci”, na które co roku 2 kwietnia przybywa do Rzymu po kilkanaście tysięcy pielgrzymów z całego świata. Dokumentalne, a jednocześnie symboliczne fotografie oddają zarówno dramatyczny nastrój pierwszej nocy bez Jana Pawła II, jak i pełne nadziei na jego rychłą beatyfikację rocznicowe spotkania na placu św. Piotra.

Wystawa spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem przybyłych gości. *To prawdziwe dzieła sztuki* – mówi jedna z osób uczestniczących w wernisażu. *Widać na niej nie tylko precyzję kreski Nani Tedeschi, ale także duszę artysty, przemawia do nas z głębi serca*. Nie mniejsze wrażenie na zwiedzających zrobiły zdjęcia z placu św. Piotra. *Ja też tam byłem, w zeszłym roku* – opowiada gość wernisażu. *Widziałem tłumy ludzi patrzących w okno papieskie, jakby czekających na wyjście naszego Papieża. I te emocje... na zdjęciach widać je w pełnej krasie* – dodaje. Niewątpliwie, wystawa jest warta zobaczenia.

MARZENA HELMECKA



Otwarcie wystawy Santo Subito, Wrocław 16.10.2009 r.

Wrocławska Pielgrzymka do Trzebnicy

fot. Bożena Rojek

17 października pomimo zimna, deszczu i błota na pątniczy szlak kolejny raz wyruszyła Piesza Pielgrzymka do Trzebnicy. 28-kilometrową trasę w 17 grupach pokonało cztery tysiące pielgrzymów, modląc się, śpiewając i słuchając konferencji przebiegających wokół hasła pielgrzymki „Dożycie wiary”. Wśród pątników idących pod przewodnictwem ks. Stanisława Orzechowskiego znalazła się grupa zakonników z Taizé, z bratem Paulo na czele. Po południu przy grobie św. Jadwigi pątnicy uczestniczyli w koncelebrowanej przez ponad 80 kapłanów Eucharystii, której przewodniczył bp Andrzej Siemieniowski. Pielgrzymkę zakończyło błogosławieństwo relikwiarzem św. Jadwigi. Dużym udogodnieniem dla pielgrzymów w tym roku była możliwość powrotu do domów koleją z dworca w Trzebnicy.

(red.)

